

5
skamielina6
szok psycho-
logiczny7
karbid
w kaganku
oświaty14
sposób
bycia

KONTAKTY

LOMZYNSKI TYGODNIK SPOLECZNY • PISMO PZPR

50

(165)

KONTAKTY
11 XII 83cena
10 zł

Fot. GABOR LÖRINCZY

MARIAN WIŚNIEWSKI

SZOK

psychologiczny

REFORMA
Z BLISKA

BARAKA

KRZYSZTOF LIS

Zakład jest na peryferiach. Na peryferiach zakładu jest baraka. W barace jest internat. W internacie są mendi. Przynajmniej tak się mówi: te mendi z baraki.

Ale pani Krysia tego nie popiera. — Owszem — powiada — zdarzały się w latach pięćdziesiątych. To samo wszy głowowe. Ale zniknęły.

— A pamiętasz, Krycha, ten kołtun? — przypomina pan Kadrowy.
— Kto by nie pamiętał? Pół biurowca siedział w oknach, jak Stelmasiak, nasz fryzjer z OZR-u, strzygł tę delikwentkę. Specjalnie na trawnik przed barakiem ją posadził, żeby z biurowca było widać tę operację. „Nożycami nie da rady — powiedział do tamtej. — Najpierw, z grubszego, trzeba kosą, potem weźmie się sierp i wyrówna przy głowie, a potem szkiełkiem na glacie”. Nie wiesz, Krycha, skąd była ta od kołtuna?

— Z wiochy — mówi pani Krysia.

— Ale konkretnie? — domaga się Kadrowy.

— A skąd ja mam pamiętać? — wykrzykuje pani Krysia. — Przecież to lata całe. Pięćdziesiąty trzeci albo drugi?

— Trzeci, trzeci! — przypomina sobie pan Kadrowy. — Na wiosnę jakos.

Najładniej umie opowiadać Danką. Jola też, ale już nie tak. Danką nawet książki by mogła pisać; całkiem z głowy. Ona też przeważnie opowiada o dziewczynach z Brzezina: — Wyjechały do miasta i żadna nie żałuje. Wszystkie są szczęśliwe, ustawione na sto dwa. Ale najbardziej powiodło się mojej kuzynce, Beatce. Nawet nie jest wystrzałowa. Każda z nas, jak tu leżymy, jest o całe niebo ciekawsza.

— Trujesz? — mówią.

— Przysięgam!

Danka opowiada wieczorem, jak Kierowniczka zgasi światło. — Tu jest internat — mówi Kierowniczka — a nie hotel. — Więc leżą na łóżkach i proszą: — Dana, opowiedz o Beatce.

— No, to moja kuzynka też jest z gospodarki. Sześć ha. Dwóch braci (już w mieście), rodzice i ona. Po szkole podstawowej, wyobraźcie sobie. Nic więcej. Więc było tak, że trzy lata temu wyrwała się na Targi. Chodzi sobie, zwiędza, aż zaszła do jugosłowiańskiego pawilonu. Ogląda serwetki, bo ładne mają, i nie wie, że już wpadła w oko pewnemu dyrektorowi.

— Jak wyglądał? — piszczy Iwonka, najmłodsza w pokoju.

— No, wysoki, ubrany jak z „Pewexu”, w okularach przyciemnionych. Podszedł do Iwonki i mówi:

W NASTĘPNYM NUMERZE: rozmowa z gen. dywizji Tadeuszem Szaciłą • Grądy dyskutują • perspektywa pewnej hali w Kolnie • dalsze podglądanie „Bawelny” • o Jadwidze, która przeszła swoje • jak Jan Świdziński „zadział” artystycznie • Julio Iglesias i „Fajki pokoju”.

SPRAWNIE PRZEBIEGA obecna kampania sprawozdawczo-wyborcza w wojewódzkiej organizacji partyjnej. Wszystkie POP wybrały nowe władze i rozpoczęły realizację świeżo uchwalonych programów działania. Zakończyły się konferencje zakładowe; miejsko-gminne i gminne minęły półmetek (wybrano już 24 terenowe instancje partyjne). Ponadto, prezentujemy głosy i wnioski z partyjnych zebrań.

▲ Gminna konferencja w Małym Płocku:

— Zarządy wojewódzkie ZMW i ZSMP w niedostatecznym stopniu interesują się sprawami wsi. Jest to niezwykle ważne, bo przecież organizacje młodzieżowe są kuznią dla kadr partyjnych, a nasza POP starzeje się bardzo szybko. (Czesław Sobieński, rolnik).

— Ludzie upychają tytoń po stodolach, nie mają co z nim zrobić. U niektórych zaczyna już pleśnieć. Obiecują się nam, że w styczniu punkty skupu przyjmą jeszcze 30 ton, a resztę dopiero w kwietniu. Czy to jest poważne traktowanie rolnika? (Franciszek Mariak, rolnik).

— Władze centralne jakiś czas temu ofiarowały nam ułatwienie w postaci rachunku rozliczeniowo-oczekiwnościowego. Niby wszystko w porządku, bo chłop nauczył się pisać i czytać, lecz handlowcy nie chcą respektować czeków. (Józef Dąbkowski, rolnik).

▲ Gminna konferencja w Śniadowie:

— Partia wzięła na siebie ciężar wyjścia z kryzysu społeczno-ekonomicznego, a to wymaga niepopularnych decyzji. Dlatego ten okres jest dla partii szczególnie trudny, tym bardziej że jednocześnie rośnie napięcie międzynarodowe. Partia jednak nie powinna chować głowy w piasek, bo jest po części odpowiedzialna za ten kryzys. (Aleksander Jankowski, członek Egzekutywy KW PZPR).

— W ostatnim okresie odeszło z naszych szeregów 64 towarzyszy. Należy więc wymagać większej odpowiedzialności od rekomendujących. Słabością naszej organizacji jest to, że nie wszyscy jeszcze pracują aktywnie. (Zofia Modzelewska, rolniczka).

— Uważam, że proponowane nam przez KW tematy ideologiczne do samokształcenia są za trudne. Ci towarzysze (w warsztatach, magazynach) mają natomiast wiele pytań. Może przyjeżdżaliby do nas lektorzy i towarzysze z KW? Często w zakładach pracy członkowie POP boją się krytykować błędy dyrektora czy prezesa, choć jest to konieczne. (Stefan Łepicki, rolnik).

— Partia to organizm żywy, ludzie przychodzą więc i odchodzą. Gdy pokażemy swoje działanie, nieustępliwość i słuszne pociągnięcia, ludzie sami do nas przyjdą bez wielkiej agitacji. (Jan Drozdowski, rolnik).

— Niepokoi mnie to, że obecnie odpowiedzialność jest zbiorowa, ale rządzenie jednoosobowe. Coraz mniej dyrektorzy i prezesi boją się krytyki. Niektórzy całkiem się uodpornili. Kiedyś reagowali na wytykanie im błędów przez sekretarza partii czy prasę, a teraz wcale się tym nie przejmują. (Jerzy Muraik, rolnik).

▲ Podczas konferencji sprawozdawczo-wyborczej PZPR w WUSW w Łomży delegaci postulowali m.in. wybudowanie izby wytrzeźwień oraz parkingu strzeżonego w związku z ciągłymi kradzieżami części samochodowych. Nowo wybranym I sekretarzem KZ-u został kpt. mgr Stanisław Tabor.

Głosy i refleksje z konferencji w kombinacie Wizna zamieścimy w najbliższym numerze.

JAK ZWIĘKSZYĆ produkcję żywności, wprowadzić postęp techniczny w gospodarstwach rolnych, wykorzystać Fundusz Rozwoju Rolnictwa? O tych i innych sprawach dyskutowali uczestnicy IV Wojewódzkiego Zjazdu Delegatów Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Zjazd przyjął program działania organizacji na następną kadencję oraz wybrał nowe władze i delegatów na IX Kongres ZSL. Prezesem WK ZSL został ponownie Czesław Gartych. W województwie łomżyńskim Stronnictwo zrzesza ponad 7,5 tysiąca członków w 591 kolach (80 proc. to rolnicy).

PREZYDIUM Rady Wojewódzkiej PRON powołało komisję problemową: społeczno-ekonomiczną, której przewodniczącym został Ignacy Użyński; interwencji społecznych — Maria Kujawa; zdrowia, rodziny, dziecka i ochrony środowiska naturalnego — Ryszard Rutkowski; wychowania i kultury — Albina Chojak; konsultacji społecznych, organów przedstawicielskich i praworządności — Krzysztof Przestrzelski; pokoju — Krystyna Kolakowska.

ODBYŁA SIĘ DYSKUSJA panelowa, którą prowadził znakomity orator i propagandysta, ambasador Jan Bisztyga. Temat: „Polskie podziały i pojednanie”. Około 100 uczestników obejrzało atrakcyjne filmy „Pomiar” i „Jedno życie” oraz film fabularny „Słońce wschodzi raz na dzień”. W jednym z najbliższych numerów zamieścimy plon dyskusji.

UROCZYSTE SŁUBOWANIE 20 pracowników Prokuratury województwa łomżyńskiego miało miejsce 30 XI br. Prokurator Wojewódzki w Łomży wręczył ślubującym akty mianowania na stanowiska urzędników państwowych. W trakcie uroczystości odznaki „Za zasługi dla Województwa Łomżyńskiego” otrzymali Alina Banasik i Konstanty Sienkowski, długoletni pracownicy Prokuratur Rejonowych w Zambrowie i Wysokim Mazowieckiem.

ZAKOŃCZYŁY SIĘ OBRADY III Zjazdu Delegatów Banków Spółdzielczych województwa łomżyńskiego. 58 uczestników oceniło działalność podstawową i społeczno-wychowawczą banków spółdzielczych oraz Wojewódzkiej Rady Banku w latach 1980—82, omówiło projekt statutu BGŻ i wybrało 7 delegatów na III Krajowy Zjazd Delegatów Banków Spółdzielczych. Dyskusja dotyczyła m.in. statutowej działalności bankowej, kredytu członkowskiego, gospodarki kasowej, obrotu oszczędnościowego, jakości i ilości materiałów reklamowych. W podjętej uchwale Zjazd m.in. zobowiązał banki spółdzielcze do działań w celu gromadzenia oszczędności jako podstawowego źródła kredytów. Nowa 21-osobowa Rada Wojewódzka BGŻ funkcję przewodniczącego powierzyła Jackowi Hryniewiczowi. Zasłużeni działacze samorządowi, pracownicy banków spółdzielczych i BGŻ otrzymali odznaczenia państwowe i resortowe.

20 WYCHOWANKÓW Państwowego Domu Dziecka w Łomży otrzymało książeczki mieszkaniowe z pełnym wkładem. Ich fundatorami są: Społeczny Komitet Przeciwalcoholowy w Łomży (8) i Stowarzyszenie Pomocy Mieszkaniowej dla Sierot w Poznaniu-Baranowie (12).

DNI HONOROWEGO Krwiodawstwa były okazją do podsumowania działalności klubów honorowego dawstwa krwi. W województwie łomżyńskim 30 klubów (3 młodzieżowe, 8 wiejskich) zrzesza 2300 członków. W ciągu 10 miesięcy br. placówki służby krwi pobrały 1501 litrów 700 mililitrów daru życia od dawców cywilnych i 214 litrów 400 mililitrów od dawców wojskowych.

PRZED KOŁEJNĄ Egzekutywą KW PZPR poświęconą ocenie „Kontaktów” spotkała się Rada Redakcyjna, by zapoznać się ze sprawozdaniem z relacji zaleceń poprzedniej Egzekutywy. Rada stwierdziła, że redakcja bardzo odpowiedzialnie potraktowała ustalenia majowej Egzekutywy, rzetelnie realizowała własne zamierzenia publicystyczne i or-

ganizatorskie, dzięki czemu nie tylko wzrosła liczba czytelników tygodnika, lecz ponadto „Kontakty” stały się rzeczywistym wyrazicielem opinii publicznej regionu. Uczestnicy spotkania przedstawili również redakcji interesujące propozycje tematyczne. Obrady prowadził nowy przewodniczący Rady, dr Józef Pal-ka.

4 GRUDNIA br. oficjalnie rozpoczął działalność ZW Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej z siedzibą w MDK (ulica Wojska Polskiego 1 w Łomży). Z kronikarskiego obowiązku i z prawdziwą satysfakcją podajemy, że prezesem Towarzystwa jednogłośnie został wybrany nasz redakcyjny kolega — Gabor Lőrinczy. Życzymy owocnego bratania się i wielu sympatyków.

AUTOMOBILKLUB ŁOMŻYŃSKI był organizatorem tradycyjnej imprezy dla pracowników „Mery-Blonie” w Zambrowie. Próby sprawnościowe, bezpłatne ustawianie świateł, pogadanka na temat nowych przepisów ruchu drogowego to niektóre zagadnienia tej pożytecznej akcji. Pod koniec grudnia br. z inicjatywy AL odbędzie się Mistrzostwa Kierowców Transportu Sanitarnego, konkurs doskonalący technikę jazdy na śliskiej nawierzchni, a jeśli dopisze pogoda — autokulig dla wychowanków łomżyńskiego Domu Dziecka.

DRUKU BILETÓW autobusowych — na początek dla MZK w Warszawie — ma się podjąć Fabryka Aparatury i Urządzeń Komunalnych w Łomży w zamian za wzbogacenie zakładowego parku maszynowego przez Ministerstwo Komunikacji. Dyrektor Fabryki zapewnia, że nie ucierpią na tej transakcji usługi drukarskie świadczone do tej pory miastu. Wydaje się to jednak wątpliwe. Zakłady drukujące bilety należą do zamkniętych, ze względu na możliwość kradzieży.

pytanie drażliwe

Jaki jest status Wojewódzkiego Związku Inwestycji Rolniczych? Odpowiada dyrektor STANISŁAW CUKROWSKI:

— Jesteśmy inwestorem zastępczym Wydziału Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej UW. Prowadzimy wszelkie inwestycje pionu rolnictwa.

— Czy to znaczy, że posiadacie bazę techniczną?

— Nie. My tylko zlecamy wykonanie inwestycji odpowiednim przedsiębiorstwom.

— Ile osób zatrudnia WZIR?

— 120, ale nie mamy pełnego zatrudnienia.

— Co by się stało, gdyby WZIR przestał istnieć?

— Nie wyobrażam sobie tego. Ktoś by musiał tę lukę wypełnić. Ktoś musi przecież zabezpieczyć dokumentację, sprawdzić, zatwierdzić... Po prostu powstałaby inna instytucja o zmienionej nazwie.

OKAZJA dla spóźnialskich

Tych, którzy nie zdążyli, zapomnieli o prenumeracie „Kontaktów” na przyszły rok, informujemy, że mają jeszcze szansę. Wyjątkowo można dokonać wpłaty jeszcze do 20 grudnia br.

Tylko prenumerata zapewni systematyczne otrzymywanie tygodnika, gwarantuje zgromadzenie wszystkich odcinków cyklicznych publikacji.

Blizsze szczegóły na marginesie 14 strony.

zdanie tygodnia

— Samorządność nie może oznaczać ani anarchii, ani sob'e-państwa.

Włodzimierz Michaluk,
I sekretarz KW PZPR w Łomży.

myśl z atestem

„Do dnia dzisiejszego należy się tylko przez zapełnianie go czynnością wymierzoną w jutro.”

Karol Irzykowski

wiesci gminne

MIASTKOWO. Mimo że rozbudowę szkoły projektowano już przed II wojną światową, czyli w momencie jej wznoszenia, niestety, wciąż do tego nie doszło. Nieaktualny jest też projekt sprzed kilku lat, za który zapłacono 600 tys. złotych. Od lat wznoszony jest dom nauczyciela. Zakończono tzw. stan surowy. Natomiast ciągle brak ustaleń, kto wykona prace wykończeniowe. Jeśli podejmie się tego Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane, będzie nadzieja, że budowa nie przedłuży się o kolejne 5 lat.

◆ Niewiele prac pozostało do wykonania przy remoncie, a faktycznie — budowie od fundamentów — czworaku w Tarnowie, który przy-ćmi swoim wystrojem stojący obok pałac. Na zmianie formacji społeczno-ekonomicznej skorzysta też wieś, zyska bowiem wodociąg. Inne wsie w gminie, według wojewódzkich planistów, na to szczęście liczyć mogą dopiero po 1990 roku.

◆ Biednemu wiatr w oczy, ale nie zawsze. Spółce rolników Sanepid zezwolił na wykorzystanie tyłko w połowie chlewni obliczonej na 150 sztuk trzody — ze względu na ochronę środowiska. Na dodatek w tym czasie zabrakło w handlu pasz treściwych. Członkowi spółki architekt nie zezwolił na dokończenie budowy willi, przy wznoszeniu której naruszone zostało prawo budowlane. Znalezione też — ponoć — ukryty, a wcześniej zajęty przez komornika na poczet długów bankowych, samochód.

ZBOJNA. Mieszkańcy Gawrych rozpieszczają GS w Nowogrodzie. Przy wznoszeniu sklepu wykonali prace wartości 496 tys. złotych. GS od dłuższego czasu nie może zdobyć się na wykończenie pawilonu. Niszczyje żelazna konstrukcja pawilonu w Dębniakach. W Rudzie Osowieckiej nie zainstalowano pieca. Nie są to adresy dla prokuratora, nie zainteresowały one również kontrolerów NIK-u.

◆ Co najmniej w 10 nowo wzniesionych budynkach zwierzęta spędzą tegoroczną zimę pod gołym niebem. Budowano je z uwzględnieniem wielkości przydziałów eterytu z rozdzielnika. Tóry opiewał na 2 tys. sztuk w tym kwartale. Faktycznie gmina otrzymała dotychczas 512 sztuk. Może przynajmniej rozdzielniki należałoby dostosować do możliwości producentów.

◆ Ciasny dom nauczyciela w Kuziach nie może pomieścić wszystkich zatrudnionych pedagogów. Dojeżdżają więc z Łomży, Kolna, Zbojnej. Rozbudowa może nastąpić po 1985 roku. Nie jest to zachęcająca perspektywa.

TUROSŁ. Mieszkanka gminy od dwóch miesięcy nie może odebrać renty. Wysłała męża na wojaże do USA, a ten w przedwyjazdowej gorączce zapomniiał zostawić upoważnienia. Stosowne dokumenty można dostarczyć tylko przez ambasadę. Nie wzywamy do anarchii, ale może jest prostsze wyjście z sytuacji.

◆ 15 grudnia upływa termin zakończenia budowy wodociągu w Turosli. Rolnicy z niecierpliwością oczekują na wodę w kranach. Na skutek melioracji i tegorocznej suszy zabrakło jej w studniach.

◆ W wykupionym przez Urząd Gminy od rolnika budynku mieszkańcy Wanacji postanowili urządzić szkołę i sklep. W czynnie społecznym zobowiązali się wykonać tynki, instalację wodno-kanalizacyjną, centralnego ogrzewania i elektryczną.

◆ W ubiegłym roku w gminie zmarło 48 związków małżeńskich, urodziło się 107 dzieci, zmarły 53 osoby. W sumie liczba mieszkańców gminy zmniejszyła się o 69 osób. Podobnie kształtuje się proporcja w br.



nie przeczekasz trudnych lat

XIV Plenum Komitetu Centralnego PZPR (18-19 listopada br.) było poświęcone głównie ocenie stanu gospodarki narodowej pod kątem widzenia skutków, jakie przynosi reforma. Wprowadza się ją już drugi rok. Pokusić się więc można o zebranie doświadczeń i wyciągnięcie wniosków. Doświadczenia te są zachęcające: po raz pierwszy od czterech lat wzrósł dochód narodowy; jedynie w ciągu br., i to przez zwiększenie wydajności pracy, osiągnęliśmy wzrost produkcji przemysłowej o 8 proc. w stosunku do analogicznego okresu roku ubiegłego. Oznacza to, że dostrzegalne już od kilku miesięcy symptomy poprawy przekształcają się w trwałą — chociaż jeszcze słabo odczuwalną na rynku — tendencję. Poziom produkcji kilku gałęzi przemysłu zbliża się (a nawet przekracza) do poziomu 1979 r., a więc roku najlepszych wyników gospodarczych naszego kraju.

Jak pamiętamy, tamte wyniki kryły w sobie znamiona głębokich błędów gospodarczych ubiegłej dekady, były niejednokrotnie osiągnięte na kredyt. Nie chodzi więc o proste odtworzenie stanu gospodarki narodowej z tamtego okresu, ale o jej głębokie przekształcenie, oparcie na zdrowych zasadach, tym samym — stworzenie mocnej bazy ekonomicznej dla trwałej odnowy struktur społecznych, gospodarczych i politycznych. Innymi słowy: chodzi o wprowadzenie w życie linii IX Zjazdu PZPR.

Jak najkrócej określić XIV Plenum? Przede wszystkim było ono miarą konsekwencji partii, która jeszcze raz dobitnie potwierdziła swoje zdecydowanie w kwestii przeprowadzenia reformy gospodarczej do końca i kontrolowanie na bieżąco realizacji jej założeń. Jest to więc praktyka zasadniczo różna od poprzednich zamierzeń reformatorskich, których nie wprowadzono nigdy w życie.

Plenum w krytycznej wymianie poglądów na temat stanu naszej gospodarki odrzuciło pojęcie „kryzysu” jako swoistego zaklęcia, tłumaczącego wszelkie niedociągnięcia, które z kryzysem niewiele lub nie mają wspólnego, ale coraz mocniej ciąży na naszym życiu społecznym. Są to m.in. zły stosunek do pracy, ogromne marnotrawstwo czasu, i te postawy społeczne, które źle służą reformie. Polegają one na próbie przeczekania trudnych lat lub obejścia problemów gospodarczych przez śrubowanie wyplat, cen itd.

XIV Plenum zawarło w swojej uchwale rzeczową propozycję skoncentrowania uwagi społeczeństwa na rzeczywistych problemach gospodarczych i rozwiązywania ich przez wzrost wydajności pracy, opanowanie sytuacji na rynku wewnętrznym, aktywizację eksportu itp. Partyjny punkt widzenia przejawia się więc nie tylko w sformułowaniu socjalistycznych celów, osiąganych przez stabilizację, ale także w metodzie ich osiągania: przez zwiększenie udziału ludzi pracy w zarządzaniu gospodarką narodową. Prawie we wszystkich zakładach przemysłowych powstały więc rady pracownicze; odbudował się także ruch związkowy, który zrzesza obecnie trzecią część ogółu pracujących.

W dorobku Plenum ważne miejsce zajmuje określenie obowiązków członków partii wobec reformy. Partia jest zarówno jej rzecznikiem, jak i realizatorem, a jednocześnie wskazuje metody wprowadzania jej w życie: stwarzanie coraz lepszych warunków wyzwalania inicjatywy społecznej i gotowości do walk ze złem o zapewnienie sprawiedliwości społecznej.

MAREK JURKOWICZ

Mój staż partyjny w porównaniu z 35-letnią historią PZPR-u jest niewielki. Podczas nauki w Liceum, podobnie jak większość moich rówieśników, należałem do ZMP. Dyrektorem szkoły był Stanisław Kormanek, znany pedagog i komunista, członek partii, człowiek bardzo skromny, kochający i rozumiejący młodzież. Jego osobowość wywarła wpływ na moje zasady i poglądy życiowe.

Październik 1956 roku przeżyłam jako ogromny wstrząs. Wypaczenia ówczesnej władzy zostały ujawnione. Atmosfery tamtych czasów nie zapomniał nigdy: wieczny w rotundzie krakowskiej, tłumów na Błoniach, czekania z niecierpliwością na wybór nowego sekretarza KC PZPR. Wiadomość o powierzeniu tej funkcji Władysławowi Gomułce przyjęliśmy z wielkim entuzjazmem.

Nadeszła przedwiosenna „odwilż” w życiu Partii, która publicznie przyznała się do błędów. Wkrótce rozwiązano ZMP (uważam, że niesłusznie, bowiem formy samorządności miało „rzeczywiście” świetne). Ludzie uwierzyli, że nowi przywódcy będą pamiętać o sprawach całego narodu.

Ta „odwilż” widoczna była niemal we wszystkich dziedzinach życia. W literaturze wybuchła liryka, debiutowało oficjalnie wielu młodych twórców, rozpoczęło się intensywne życie kulturalne. Jako studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim byłam stałym bywalcem Klubu „Pod jaszczurami”. Odbijały się tam m.in. gorące dyskusje ideologiczne, dotyczące współczesnej rzeczywistości, Partii, przyszłości socjalistycznej Polski, sensu życia.

Trudno mi autorytatywnie oceniać działalność PZPR w tamtym okresie, bowiem patrzyłam wówczas na świat przez młodzieńcze ideały, którym przyswierałam wiarę w prawdę, uczciwość, szlachetność.

Po skończeniu studiów wyjechałam z Krakowa. Rozpoczęłam pierwszą pracę. Nie kryłam nigdy moich życiowych zasad. Zawsze uważałam, że do PZPR-u powinni należeć ludzie o skryształizowanych poglądach, zachowujący w swoim postępowaniu jedność słów i czynów. Słuchałam sekretarza POP głoszącego piękne hasła i idee, a po cichu radzącego mi, jak się „urządzić” w życiu: zdobyć stanowisko, wejść w tzw. układy, mieć poparcie ludzi stojących na świeczniku. Wielu członków Partii w prywatnym kole po prostu sobie z decyzji, hasła i apeli. Ich postawa zrażała mnie do organizacji.

Mimowolnie jednak byłam z Partią związana przez tradycje rodzinne. Ojciec należał do PPR-u, a od roku 1948 — do PZPR-u podobnie jak stryj i jego syn; starsi bracia ojca walczyli w szeregach Gwardii i Armii Ludowej. Wychowałam się na Kielecczyźnie, ziemi tradycyjnie uznającej demokrację i tolerancję wobec przekonań innych. Wierzyłam, że Partia chce realizować wartości, w imię których ginęli ludzie, a w chwilach zwątpienia myślałam o Władysławie Broniewskim, który — choć nigdy nie należał do żadnej partii — był komunistą i za swoje przekonania kilkakrotnie siedział w więzieniu w okresie sanacji. Dziennikarzowi zagranicznemu powiedział kiedyś, że nie był ofiarą komunizmu, lecz błędów i wypaczeń. Tak samo myślałam widząc karierowiczostwo, cynizm, zakłamanie, bezdusność niektórych działaczy partyjnych.

Nadszedł rok 1970. Byłam zaskoczona, że w państwie robotniczo-chłopskim użyto broni przeciw tym, którzy wystąpili w słusznej sprawie. Okres tzw. małej stabilizacji przywracał pewne formy pracy partyjnej, których skutkiem było nadmierne bogacenie się jednostek; rosła przepaść między zwykłym członkiem Partii a górą, rozkwitał ceremonializm partyjny, potężniały tzw. układy. Nic dziwnego, że w grudniu — na pytanie: „Pomożecie?” — społeczeństwo odpowiedziało zgodnie: „Pomożemy”. Pragnienie „czystej” Partii, tzn. realizującej hasła sprawiedliwości społecznej nie tylko w programach, było tak silne, że wszelka zmiana budziła nadzieję i wiarę. Wszyscy obywateli, którzy akceptowali ustrój polityczny Polski Ludowej zaczęli wierzyć, że tym razem Partia uniknie błędów.

I wydawało się, że naprawdę tak będzie. PZPR zbliżyła się do ludzi, zajęła się rozwiązywaniem ich problemów, przestała głosić frazesy,

DLACZEGO JESTEM CZŁONKIEM PARTII?

CZŁOŚ podziachu
CZŁOŚ pojednania



DOMICELLA LEWTAK, od 1973 roku członek partii, dyrektor Liceum Ogólnokształcącego im. Manifestu Lipowego w Zambrowie

Symbolem tego ducha odnowy i jednności wszystkich Polaków partyjnych i bezpartyjnych, była dla mnie odbudowa Zamku Królewskiego w Warszawie. Wtedy podjęłam decyzję o wstąpieniu do Partii. Wierzyłam, że im więcej w niej ludzi myślących podobnie jak ja, tym bardziej stanie się wiarygodna jej idea.

W swoim życiu nigdy na pierwszym miejscu nie stawiałam spraw prywatnych i nie deptałam innych, aby coś dla siebie osiągnąć. Kierowałam się tolerancją wobec błędów innego człowieka, jeśli wyraził skruchę i chęć poprawy. W rozmowach i dyskusjach głosiłam zdanie, że przecież wszystko zależy od ludzi: trzeba wierzyć, że zrozumieją swoje dotychczasowe postępowanie i chcą działać inaczej.

Reforma administracyjna przyniosła dużo zamieszania. Miasta powiatowe (takie jak Zambrow) spadły nagle do rangi gminnych. Pociągnęło to za sobą mniejszy zakres uprawnień i przywilejów władzy i mieszkańców. Ludzie zaczęli działać jak gdyby w innym wymiarze. Może to właśnie spowodowało spadek ambicji, apatie, marazmu? Partia zaczęła administrować. Zastanawiałam się wtedy — dlaczego. Po co są urzędy do tego stworzone? Nadszedł okres ilości, a nie jakości. Jako dyrektor Liceum otrzymałam polecenie powiększenia szeregów partyj-

nych bez względu na przekonania i osobowość kandydatów. Rozpoczął się nabór młodzieży z ostatnich klas. W pierwszym roku tego pomysłu przyjęliśmy około 21 uczniów. W następnym — tylko 3. Młodzi ludzie mają prawo do wahań, niepewności. Rozumiałam ich postawę; nikogo nie ciągnęłam na siłę. Zostałam za to publicznie „rozliczona”.

Sierpień 1980. Zdziwiła mnie odwaga robotników. W słuszną ich bunt nie watoila. Jestem pełna uznania dla władzy, że nie użyła broni przeciwko strajkującym. Świadczy to chyba doskonale o zrozumieniu sytuacji przez obie strony. Partia znowu dowiedziała się prawdy o sobie. Administrowanie, propaganda sukcesu, decyzje pozbawione zdrowego rozsądku mściły się teraz protestem całego narodu. Nie czułam się winna za te wszystkie błędy i odejścia od założeń ideologii. Zawsze wychowywałam młodzież w duchu umiłowania sprawiedliwości społecznej, godności ludzkiej, szacunku dla pracy. Cóż więcej może osiągnąć nauczyciel poza osobistą satysfakcją z wyników swojego wysiłku pedagogicznego? Nigdy nie korzystałam z „przywilejów” członka Partii, bo nie pozwalały mi na to moje zasady. Człowieka powinno się oceniać na podstawie jego pracy, moralności, zgodności życia zawodowego i prywatnego.

W okresie istnienia Polski Ludowej kształciłam społeczeństwo, rozbudzałam jego ambicje intelektualne i zawodowe. Ludzie uczyli się myśleć. To ogromne osiągnięcie. Ale

jednocześnie zwykłego człowieka postrzegano jako prostaka, który niewiele umie, frazesy przyjmie i będzie owym „robolem” posłusznie służącym wybrancom losu. I tu tkwił zasadniczy błąd. Oczywiście, nie założyłam Partii, lecz ludzi, którzy rościli sobie prawo do jej reprezentowania i decydowania o życiu narodu. Nic dziwnego, że po takich bolesnych doświadczeniach rozpoczęło się masowe zwracanie legitymacji. Słabsi psychicznie nie wytrzymali natłoku i dramatyzmu wydarzeń. Często byli to ludzie wartościowi i szlachetni. Tych żał. Ale byli cwaniacy, którzy znaleźli późniejszych patronów i nowy sposób na karierę, ukrywając się przed odpowiedzialnością.

Zostałam. Ani przez moment nie wątpiłam, że Partia wyliże się ze swoich ran, że będzie taka, jacy w niej zostaną ludzie. Z nadzieją śledziłam przebieg obrad IX Zjazdu PZPR. Jego program powinien uchronić nas w przyszłości od tego, co było złe. Wierzę, że bolesne doświadczenia zaowocują w postaci mądrych rządów szlachetnych głów. A członkowie Partii muszą pamiętać, że naród na nich patrzy, uniknąć zadufania we własną nieomyślność, słuchać głosów zwykłych, prostych ludzi.

Fot. GABOR LÖRINCZY



NEWADA W ANDRZEJEWIE

Państwowa Inspekcja Handlowa Okręgowy Inspektorat w Białymstoku Oddział Wojewódzki w Łomży uprzejmie informuje, że w dniu 8 września 1983 r. została złożona u nas skarga ob. Mariana Woźniaka. Dotyczyła ona zakupu mebli typu „Newada” przez naczelnika gminy i prezesa Gminnej Spółdzielni w Andrzejewie.

Przeprowadziliśmy inspekcję i postępowanie wyjaśniające w sklepie nr 2 w Andrzejewie, na który były wyfakturowane meble. Zebrane materiały zostały przekazane w dniu 15 października 1983 roku Prokuratorowi Rejonowemu w Zambrowie celem wszczęcia postępowania w trybie zwykłym.

Odnośnie krytyki zamieszczonej w rubryce „Śpięcia” („Kontakty” nr 40) Państwowa Inspekcja Handlowa nie informowała redakcji „Kontaktów” o prowadzonym postępowaniu uważając, że wyjaśnienia w tej sprawie winni złożyć Wojewoda Łomżyński i prezes WZSR „Sch” w Łomży.

ZBIGNIEW LIPSKI
kierownik
Oddziału Wojewódzkiego
PIH w Łomży

★

Nawiązując do notatek prasowych zamieszczonych w tygodniku („Kontakty” nr 23 i 40), a dotyczących funkcjonowania Gminnej Spółdzielni „Sch” w Andrzejewie, niniejszym wyjaśniam:

Problem funkcjonowania placówek gastronomicznych Gminnej Spółdzielni w Andrzejewie był już niejednokrotnie sygnalizowany na łamach prasy i podnoszony w korespondencji miejscowego środowiska. W tej sytuacji Wojewódzki Związek — jako organ koordynujący — prowadził postępowania wyjaśniające, których efekty były przedstawione Radzie Nadzorczej i Zarządowi Gminnej Spółdzielni.

Stwierdzono, że faktycznie w działalności placówek gastronomicznych występowały znaczne nieprawidłowości, a szczególnie gdy prowadzącym bar był ob. W. Baranek, z którym Gminna Spółdzielnia rozwiązała umowę o pracę z dniem 7 marca 1983 r. Zmiana na stanowisku prowadzącego bar wpłynęła pozytywnie na funkcjonowanie tej placówki. Jednak przestarzałe lokale, w których działalność gastronomiczną spółdzielnia prowadzi, mają ujemny wpływ na jej poziom i ocenę.

Widząc ten problem, Rada Nadzorcza i Zarząd Gminnej Spółdzielni uznały za uzasadnione podjęcie działań związanych z przekazaniem odpowiedniego lokalu na cele gastronomiczne. Niewątpliwie wpłynie to pozytywnie na ocenę tego odcinka działalności GS-u. Do czasu zrealizowania tego zamierzenia służby branżowe naszego Związku zwróca szczególną uwagę na problem funkcjonowania placówek gastronomicznych.

Jeżeli chodzi o sprzedaż mebli typu „Newada” w dniu 8 września bieżącego roku to przeprowadzone na tę okoliczność postępowanie wyjaśniające Państwowej Inspekcji Handlowej Oddział w Łomży i pracowników WZSR wykazało nieprawidłowości przy ich rozprowadzeniu.

W wyniku tego PIH zagadnienie powyższe przekazała do Prokuratury Rejonowej w Zambrowie.

O wynikach zakończonego postępowania przez Prokuraturę powiadomimy redakcję.

inż. **JÓZEF ZACZEK**
wiceprezes Zarządu WZSR
w Łomży

U „MATYSIAKOW”

W związku z ukazaniem się notatki („Kontakty” nr 32) na temat niewłaściwej obsługi konsumentów przez bufetowa w jadalni „Matysiaki” Zarząd „Społem” Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Łomży uprzejmie informuje, że osobie winnej, tj. ob. Barbarze Iwanowskiej, nie przyznano premii w wymiarze miesięcznym, wystosowano pisemne ostrzeżenie i przypomniano o prawidłowej obsłudze oraz takownym zachowaniu wobec konsumentów.

Za zaistniały fakt przepraszamy i zapraszamy do korzystania z naszych usług.

inż. **IRENEUSZ CHROSTOWSKI**
prezes Zarządu
PSS „Społem” w Łomży

„WIAZANKA LISTOWA”

W nawiązaniu do notatki prasowej, dotyczącej znalezienia listów („Śpięcia”, „Kontakty” nr 43) Wojewódzki Urząd Poczty w Łomży uprzejmie informuje, że w wyniku przeprowadzonego postępowania wyjaśniającego ustalono, iż pracownik konwoju samochodowego Białystok—Kolno—Łomża—Białystok — przy wysiadaniu z pojazdu w czasie chwilowego, uzasadnionego postoju — spowodował wypadnięcie wiazanki listowej składającej się z 7 listów zwykłych.

Kierownictwo Urzędu Przewozu Poczty Białystok 2 konwojentowi za rażące niedopełnienie obowiązków służbowych udzieliło kary porządkowej (nagany) z dołączeniem do akt osobowych. Udzielenie tej kary jest podstawą do pozbawienia winnego pracownika premii uznaniowej i nagrody z zakładowego funduszu nagród.

Wojewódzki Urząd Poczty w Łomży pragnie za pośrednictwem redakcji „Kontaktów” złożyć wyrazy podziękowania mieszkańcowi Cydzyna Starego, który właściwie zareagował na zaistniały fakt i w ten

sposób przesyłki w stanie nienaruszonym trafiły do adresatów.

mgr **WŁADYSŁAW MRÓWKA**
dyrektor
Wojewódzkiego Urzędu Poczty
w Łomży

„SZKOŁY TONĄ W BRUDZIE”

W odpowiedzi na artykuł redaktora Adama Sochy pt. „Szkoły toną w brudzie” („Kontakty” nr 42) Inspektorat Oświaty i Wychowania w Wysokim Mazowieckim protestuje przeciwko takiemu stwierdzeniu. Określenie: „Z chwila rozpoczęcia roku szkolnego w Wysokim Mazowieckim wybuchła epidemia” jest nieprawdziwe. Nie możemy zrozumieć, jaki był tego cel, ponieważ fakty mówią co innego.

Od 1 września 1983 roku do 31 października zanotowano 4 przypadki zachorowań na żółtaczkę: w Liceum Ogólnokształcącym — 2 osoby, w Szkole Podstawowej nr 1 — 1 osoba i w Zespole Szkół Zawodowych — 1 osoba. Naszym zdaniem choroba 4 uczniów na ponad 3 tysiące dzieci i młodzieży nie stanowi epidemii, chociaż nie może być lekceważona.

I jeszcze coś odnośnie tytułu wyżej wspomnianej notatki. Wymienione szkoły są po generalnym remoncie i według opinii naszej oraz Terenowej Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej w Wysokim Mazowieckim nie toną „w brudzie”, ale są czyste. Takim tytułowym stwierdzeniem krzywdzimy wielu uczących ludzi, którzy włożyli dużo trudu w czasie wakacji, aby szkoły nie tonęły w brudzie.

Przy formułowaniu opinii należy brać pod uwagę fakty sprawdzone i obiektywne. Wrzucanie wszystkich do brudnego worka jest mocno krzywdzące i nie mobilizuje do uczciwej pracy.

ZENON BRZOZOWSKI
inspektor szkolny
w Wysokim Mazowieckim

„BETON”

W nawiązaniu do artykułu pt. „Beton” („Kontakty” nr 42) informuje, że nasze wyjaśnienie zawarte w piśmie skierowanym do naczelnika Gminy w Grabowie, dotyczące rzekomych nieprawidłowości w realizacji wydanych przez Urząd Gminy Grabowo zleceń na gazobeton jest prawidłowe i poparte zostało rzetelnym rozliczeniem. Przesłaliśmy je na ręce obywatelki naczelnik UG Grabowo wraz z wyjaśnieniem, że kontrola dotycząca prawidłowości sprzedaży betonu komórkowego przeprowadzona była w Gminnej Spółdzielni Stawiski Oddział w Grabowie, a nie w Urzędzie Gminy. Nie istniała więc potrzeba pozostawienia protokołu z kontroli naszej jednostki w Urzędzie Gminy.

Z wynikiem kontroli oraz rozliczeniem, ze względu na nieobecność naczelnika, zapoznany został inspektor do spraw budownictwa UG Grabowo, który nie wnosil zastrzeżeń do przedstawionego materiału. Ob. naczelnik również nie miała zastrzeżeń do przesłanych rozliczeń, przyjąć więc należy, że uznała je za prawidłowe i wiarygodne.

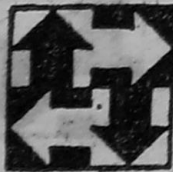
Jesteśmy przekonani, że w przyszłości wszelkie nieporozumienia, mogące wystąpić między Urzędem Gminy a Gminną Spółdzielnią, będą rozstrzygane na miejscu bez szkody dla rolnika.

mgr **ANATOL LISOWSKI**
zastępca prezesa
WZSR „Sch” w Łomży

Fot. GABOR LÖRINCZY



co po krytyce



kontakty kontaktów

Bajka Kryłowa o rzece i stawie jest mądra i pouczająca. Staw był bardzo dumny, że ma piękne i łatwe życie, podczas gdy rzeka — trudne. On spokojnie między brzegami leży. Ona musi biec, ciągle potykając się o skały, obijać się na zakrętach.

Rzeka jak płynęła, tak płynie, a tymczasem staw zarósł i zostało po nim tylko bagno. Staw ginął, a rzeka kształtowała swój bieg, drążyła, zmagając się z przeciwnościami.

Bajka ta obrazuje nam dwa podejścia do świata: jedno — życie aktywne, arucie — ucieczkę przed działaniem. Pokazuje konsekwencje jednego i drugiego. Namawia do oycia rzekę. I ta postawa nam — harcerzom — jest szczególnie potrzebna, bo kim my (starsi harcerze) jesteśmy? Na pewno wiemy, że chcemy być rzeką. Lecz jak na razie nie tylko nie potrafimy zmagać się z przeciwnościami, ale także nie umiemy kształtować swego biegu. Zbyt mała znajomość ogólnie wiedzy o harcerstwie, niedobór instruktorów z prawdziwego zdarzenia, małe rozumienie i pomoc szkół powodują, że w styczności z harcerzami z innych województw czujemy się raczkującą organizacją, która mało umie i potrafi.

Dalecy jesteśmy od tego, by narzekać i czekać, aż ktoś za nas wytyczy drogę, nakreśli cel i zlikwiduje marazm, który wkraśli się w nasze szeregi. Dalecy, ponieważ to my, harcerze, ponosimy za to odpowiedzialność.

W dniach 3—12 listopada bieżącego roku w Chorągwiej Szkole Instruktorskiej w Danówku odbył się kurs drużynowych drużyn starszoharcerskich. Przyjechało 30 osób z całego województwa, chociaż miejsce było wąskie. Nie wszystkie szkoły (czego nie można powiedzieć o LO w Wysokim Mazowieckiem, LO Jedwabne, LO Zambrów) z właściwym zrozumieniem odniosły się do próby Komendy Chorągwi ZHP w Łomży o umożliwienie uczestnictwa drużynowych w kursie.

W ostatnim dniu pobytu w Chorągwiej Szkole Instruktorskiej w Danówku Rada Kursu wystosowała list otwarty do komendanta Łomżyńskiej Chorągwi ZHP o następującej treści: „Z inicjatywy uczestników kursu zrodziła się idea utworzenia Pogotowia Niespokojnych Harcerzy z osób biorących udział w kursie. Pogotowie to posiadałoby eksperymentalny charakter. Programowym celem jego działania jest — w myśl postanowienia jego założycieli — urzeczywistnienie w praktyce wiedzy teoretycznej.

Pierwsza zbiórka odbędzie się 10 grudnia 1983 r. w Liceum Ogólnokształcącym w Jedwabnem. Na zbiórce tej powstaną dokumenty organizacyjne. Będzie to zbiórka otwarta. Celem każdej zbiórki będzie przekazanie doświadczeń praktycznych i wiedzy teoretycznej drużynom młodym i w stadium organizacji”.

List spotkał się z aprobatą Komendy Chorągwi w Łomży. Pragniemy tą formą pracy dotrzeć do każdej drużyny harcerskiej, która nas potrzebuje i zaprosi. Pragniemy podzielić się zdobytymi wiadomościami, pomóc w kłopotach. Chcemy także uczyć się od Was, by w przyszłości nie stanąć przed problemem braku odpowiednio wykształconej kadry instruktorskiej. Chcemy dać odpowiedź na pytanie — co robić, by w drużynach zbyt wiele nie przeczyły racji pozytywnej, by nie uznawano, że wystarczy tylko wiedza i świadomość.

DARIUSZ LUTOSTAŃSKI
WYDZIAŁ STARSZOHARCERSKI
KOMENDY CHORĄGWI ZHP
W ŁOMŻY

Zwróciła się do nas zrozpaczona mieszkanka Rajgrodu, Maria Koniecko. „Brat — mówiła — usiłuje mnie usunąć z mieszkania. Tu się urodziłam, wychowałam, a po śmierci matki prowadziłam wraz z ojcem gospodarstwo i wychowywałam młodsze rodzeństwo. Bronię się, jak mogę, choć dom jest stopniowo dewastowany. Muszę do niego wchodzić na czworaka, bo brat wykopał przed drzwiami głęboki dół, żeby mnie szybciej wypędzić. Jestem w posiadaniu pisma, w którym Sąd stwierdza, iż rozbiórka domu może nastąpić dopiero po zapewnieniu mi innego lokalu. Wprawdzie dają mi mieszkanie, ale gorsze: z wejściem po schodach, bez studni, a ja jestem schorowana, samotną kobietą i mam 72 lata”.

— Proponowane przez naczelnika mieszkanie — potwierdzają Barbara Jankowska i Barbara Prostko, pracownice socjalne Urzędu Miasta i Gminy w Rajgrodzie — rzeczywiście było pozbawione wody. W Rajgrodzie mało jest budynków z kanalizacją i wodociągiem. Teraz przyjacielka zgłosiła się przyjąć ja do siebie, za co otrzymuje większy metraż. Pomieszczenie jest już prawie gotowe: ma założone światło, a wkrótce zostanie pobiałkowane.

W walce o spokojny kat poruszyła Maria Koniecko niebo i ziemię. Pisała m.in. do Komitetu ds. Radia i Telewizji, ministra Zdrowia i Opieki Społecznej. Wszystkie listy

trafiły do siebie Marię Koniecko, jeśli otrzyma lepsze mieszkanie!

— No, ale to mieszkanie wcale nie jest większe od dotychczasowego; jest nawet mniejsze, bo murarz przesunął o pół metra ściankę. O, ta część miała być w moim korytarzyku i tu zamierzałam postawić szafy. Teraz mam do wyboru: wyrzucić je i przyjąć Marysię albo...

Gospodarze cieszą się z mojego przyjazdu, bo wreszcie o ich krzywdzie dowiedzą się cały świat”.

— Gnieździć się tu we trzy rodziny — tłumaczy żona gospodarza — to znaczy: ja z mężem, córka z zięciem i druga, jeszcze bez zięcia. Gotować musimy w piwnicy, bo choć dom duży, na kuchnię nie ma w nim miejsca.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

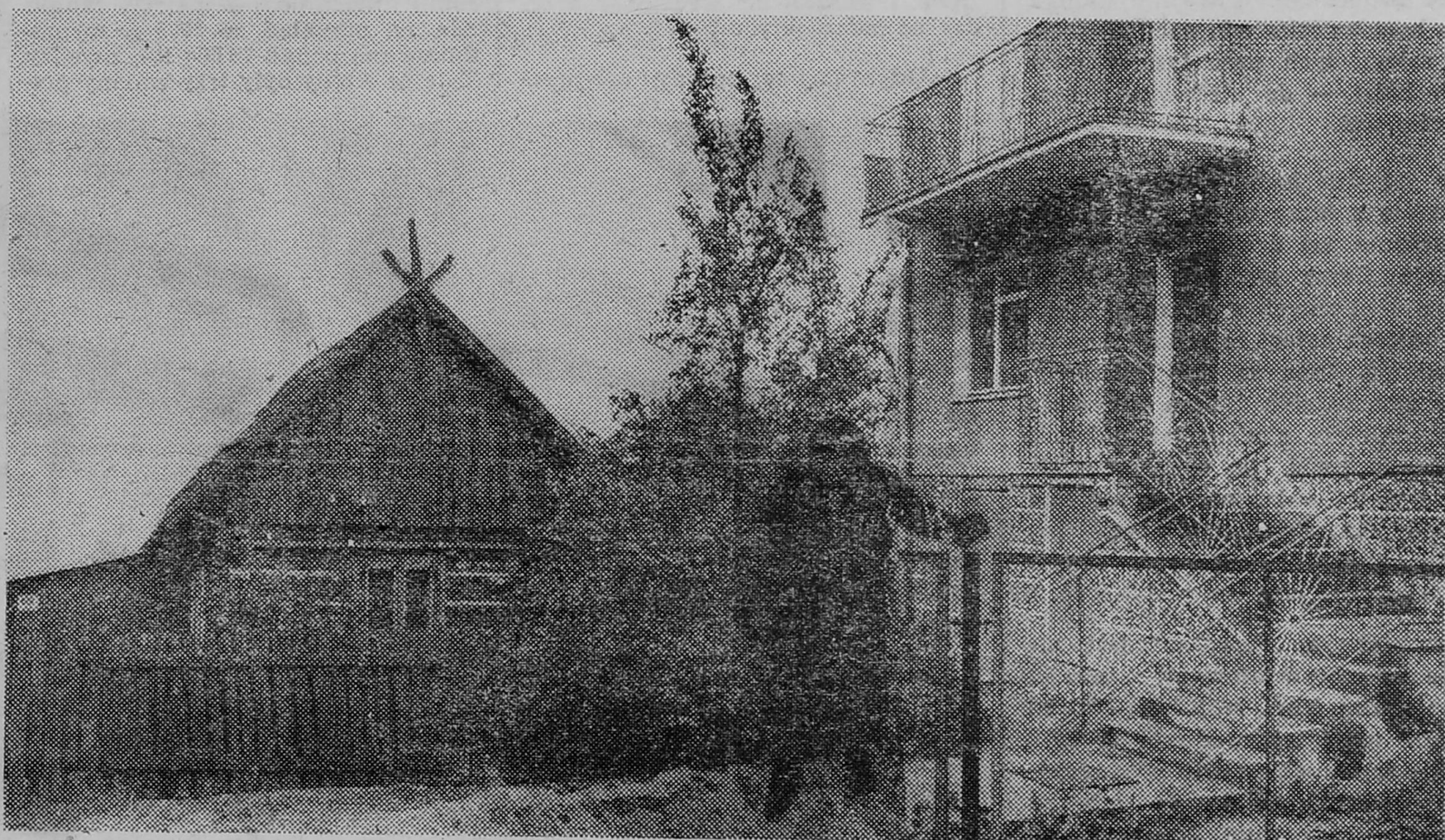
skamielina

Przecież nie mogę pozbyć się swego całego majątku! A Marysia ma w papierze sądowym zagwarantowane, że nie wyrzuci jej z tego drewnianego domu, póki nie dadzą zastępczego kata.

W kłitkach, które Mulewska zajmowała dotychczas, sufit walił się od kilku lat. Jeden słup ustawił przed czterema laty — jeszcze żyjący wówczas — mąż, drugi postawiła sama. Okrecone papierem drzwi nie chroniły przed zimnem.

— Siostra siedzi tu naprzeciw i nie możemy zrobić dojazdu do naszej posiadłości — mówi braciśzek.

— A zięć ma samochód i, niechże pan sobie wyobrazi, całymi nocami trzyma go na ulicy; teraz, kiedy każda część kosztuje tyle pieniędzy, a ludzie nadal poszukują opon i akumulatorów! Parę razy wjeżdżał przez podwórko sąsiadów, ale oni nie patrzą na to zbyt przychylnym okiem.



wracały do Urzędu Miasta i Gminy z dopiskiem, by kobiecie udzielić pomocy. I już się wydawało, że problem jest rozwiązany: Maria Koniecko wprowadzi się do swojej najlepszej, również samotnej, przyjacielki, ale coś mnie tknęło, by obejrzeć ich wspólne lokum.

Mieszkanie — kuchnia (dwa i pół na półtora metra) oraz (nieco większy) pokój — mieści się na piętrze w byłym budynku gminnej administracji. Majster zamazuje ostatnie dziury, a szczęśliwie lokatorki oglądają pomieszczenia. Janina Mulewska bezradnie rozkłada ręce: — Zgodziłam się wziąć do siebie Konieckową, ale teraz widzę, że jak ustawie dwie szafy i łóżko, to w tym pokoiczku naprawdę już dla Marysi miejsca nie będzie.

— Może znalazłoby się go trochę w kuchni?

— Panu łatwo powiedzieć! A gdzie ustawie stół, gdy ksiądz przyjdzie do mnie po koledze albo gdy ktoś mnie odwiedzi? Obca osoba, taka jak Marysia, będzie skrepowana w moim mieszkaniu. O, gdybym dostała jedno z tych mieszkań obok: z dużym pokojem, większą kuchnią i kawałkiem korytarzyka, na pewno Marysia byłaby u mnie.

Towarzyszka mi pracownica socjalna Urzędu Gminy, Barbara Jankowska, wpada w popłoch. — Pani Mulewska! — woła — przecież pani przyrzekła naczelnikowi, że przy-

Maria Koniecko stoi oparta o ścianę. Ja także zaskoczyły słowa przyjacielki. Mówi cicho: — Może Bóg da, że to mieszkanie niedługo ci zwolnie. Przecież już mam tyle lat... Więcej chorób i zmartwień niż życia.

W miasteczku ludzie nie znają nieszczęścia Marii Koniecko. A może tylko nie chcą zainteresować się jej losem? Kobieta w sklepie spożywczym skwapliwie zaprzecza, choć sąsiadka przypomina: — No, wiesz o kogo chodzi, o Marysię, która brat z drewnianego domku wygania, a sam obok w dużej willi, jak w pałacu, mieszka.

Jeden z zapytanych nie chce mieszać się do spraw rodzinnych, inni wyjaśniają: — Oni już kotw pomiędzy sobą dra od kilku lat i kto tam więcej winien, tego nawet sąd nie rozbiere.

— Czy rzeczywiście nikt nie wie, kto tutaj winien? — znajduje wreszcie wrażliwa dusza. — Ci jej bracia to naprawdę bogaci ludzie i niespieszno im przyznać się do biednej siostry, która otrzymuje zasiłki na zakupienie odzieży. Pyta pan, gdzie jest prawda w tym konflikcie? Leży ona u Marysi brata, Wincentego, na podwórku.

Wincenty mieszka tuż za drewnianym domkiem, w którym chciałaby spędzić swoje se-dziwe lata. Maria Koniecko jego rodzona siostra, Willa, jeszcze z zewnątrz nie jest otynkowana, wewnątrz jest już urządzona dostatnio.

— Niech pan zrozumie — uzupełnia żona — my nie chcemy dla Marii Koniecko źle. Załatwiliśmy jej przez naczelnika mieszkanie, a nawet opiekunkę do noszenia wody. Kat był lepszy od tego w murywanym domu. Nie zgodziła się. Jak my teraz przed naczelnikiem wyglądamy?

— Siedlisko było obwarowane warunkami, że nie można na nim nic budować, dopóki nie ureguluje się spraw rodzinnych. Musieliśmy jeździć do powiatu, województwa. Nikt nam nie chciał pomóc. Ale wreszcie pokonaliśmy tę barierę.

— Maria Koniecko miała w tym domu mieszkać tylko pięć lat. Do tego czasu zobowiązaliśmy się dać jej mieszkanie zastępcze. Nie przyjęła, jej sprawa, ale stąd musi się usunąć. U nas mieszkać nie może, bo mamy, jak już panu mówiłam, strasznie ciasno.

— Dom macie państwo piękny i ładnie położony: nad samym jeziorem. Chętnie przyjechałbym tu latem...

— Dla pana pokój na pewno by się znalazł — podchwytuje temat gospodyni. — Proszę tylko nas wcześniej powiadomić.

— Wynajmowali u nas państwo z Białegostoku — chwali się małżonek. — Byli bardzo zadowoleni z wypoczynku.

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

5
KONTAKTY
11 XII 83

interwencje



PODGLĄDANIE ZAMBROWSKIEJ „BAWELNY” (I)

Na przykład: Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Rewolucji Październikowej. Gdybyśmy przyjechali tu, powiedzmy, dziesięć lat temu, dowiedziałbyśmy się zaraz na wstępie, że była to sztandarowa budowa „sześciolatki” (plan 6-letni, 1950—55) na ówczesnej Białostocczyźnie. W istocie nią była i nie ma sensu, pod presją kryzysu, przekreślać wielkiego wysiłku całego narodu w owych latach. Ten zakład — zajmujący powierzchnię 22 hektarów — jeszcze dziś imponuje swoim rozmachem. Zgromadzony majątek trwały w cenach bieżących stanowi wartość kilkunastu miliardów złotych.

Wyobraźmy sobie przez moment początek lat pięćdziesiątych. Jeszcze nie wszędzie zagościł spokój, jeszcze nie zabiły rany wojenne. Ówczesny Zambrow był zapadłą miejsciną, liczył w 1950 r. 3762 mieszkańców (w 1939 r. — 7600). I naraż, przy olbrzymiej pomocy radzieckiej, z dnia na dzień powstała gigantyczna fabryka przemysłu włókienniczego. Pierwszy etap jej budowy zakończono w 1954 r. W tej części Polski takich wówczas nie było. Znacznie później odkryto, że fabryka, która tak gwałtownie przetrwała na korzyść oblicze miasteczka, stworzyła również zgola nieoczekiwane problemy. Najważniejszym z nich była kwestia adaptacji społecznej załogi, tych paru tysięcy młodych ludzi — do niedawna mieszkańców wsi.

To już dziś historia, którą wspomina się z leżką w oku. W fabryce pracuje już drugie i trzecie pokolenie. Coraz mniej ludzi dojeżdża z okolicznych wsi, coraz większy odsetek załogi to rodowici zambrowianie. Inne są dziś problemy, inne zmartwienia i inna ich skala. Najważniejszy z nich: jak pokonać kryzys w kraju, tu, w fabryce? Orazem w tej walce ma być reforma gospodarcza. Zobaczymy więc, jak skuteczny jest to oręż i czy umiemy właściwie nim się posługiwać.

Zambrowska „Bawelna” jest zakładem dwuwydziałowym; składa się z przędzalni (ruszyła już w 1954 r.) i tkalni (początek produkcji w 1973 r.). Dla zamknięcia cyklu produkcyjnego potrzebna byłaby na miejscu jeszcze wykańczalnia. Z powodu jej braku tkaniny, swego rodzaju półprodukt, wysyła się do zakładów w Białymstoku („Fasty”) i Łomży („Narew”). Ze zgrozą przypomina się tu czasy, nie tak znów odległe, kiedy wędrowały one po całej Polsce. Wożono je do Prudnika (woj. opolskie), Łodzi, Ozorkowa. Lecz to jeszcze nie całe ówczesne nieszczęście. Około 25 proc. zambrowskiej przędzy wysyłano do innych zakładów w Polsce, a tyleż samo sprowadzono z kraju dla potrzeb własnej tkalni.

— Wtedy dynamicznie rósł nam dochód narodowy — mówi z przekąsem dyrektor naczelny zakładu, mgr inż. Czesław Zagdański. — Zambrowska przędza była liczona do wartości produkcji najpierw u nas, powtórną u naszych odbiorców, coś sobie kolej dorzuciła za transport i mieliśmy rachunek, na papierze, potrójny. A ciągle była to ta sama przędza.

— Tak był ówczesny system nakazowo-rozdzielczy — wspomina przewodniczący samorządu pracowniczego, Stanisław Baranowski, pracujący w zakładzie od 23 lat. — Ze zjednoczenia przychodziło polecenie: wysłajcie wagon przędzy do Andrychowa, albo: odbierzcie wagon przędzy z Bielawy na Dolnym Śląsku. I nie było rady, należało wykonać polecenie.

— A myśmy w zakładzie wszyscy dzieli — dodaje zastępca dyrektora, inż. Helena Kwiek. — Przyjdzie ten wagon na czas czy nie. Dzwoniliśmy, słaliśmy teleksy, monitorowaliśmy, a przestojów i tak nie udało się uniknąć.

W połowie lat sześćdziesiątych przeprowadzono gruntowną modernizację zakładu. Do przyszłego roku trzeba będzie płacić zaciągnięty na nią kredyt. Ale wre-

tym bliskie sąsiedztwo dostawcy surowca — Związku Radzieckiego. W trakcie wspomnianej modernizacji przystosowano park maszynowy oraz proces technologiczny tak, aby te najniższe gatunki bawełny stanowiły jak to się dzieje obecnie, ponad 95 proc. „wsadu” surowca.

Głównym problemem, jaki stoi przed zakładem, jest systematyczna obniżka kosztów i pełne wykorzystanie istniejącego potencjału produk-

Dzisiaj dziennikarz nie jest zbyt miłym gościem w zakładzie. Bo i czym się tu specjalnie chwalić? Sukcesy, owszem, są, ale raczej mierne; gdzie im do tamtych sprzed lat! Znacznie więcej zaś jest spraw wstydlivych, a przynajmniej takich, które chciałoby się przemilczeć.

sze dopasowano strukturę produkcji własnej przędzalni do możliwości własnej tkalni. Skończyły się uciążliwe i kosztowne wędrowki przędzy po całym kraju.

— Gdybyśmy tej operacji nie prze-

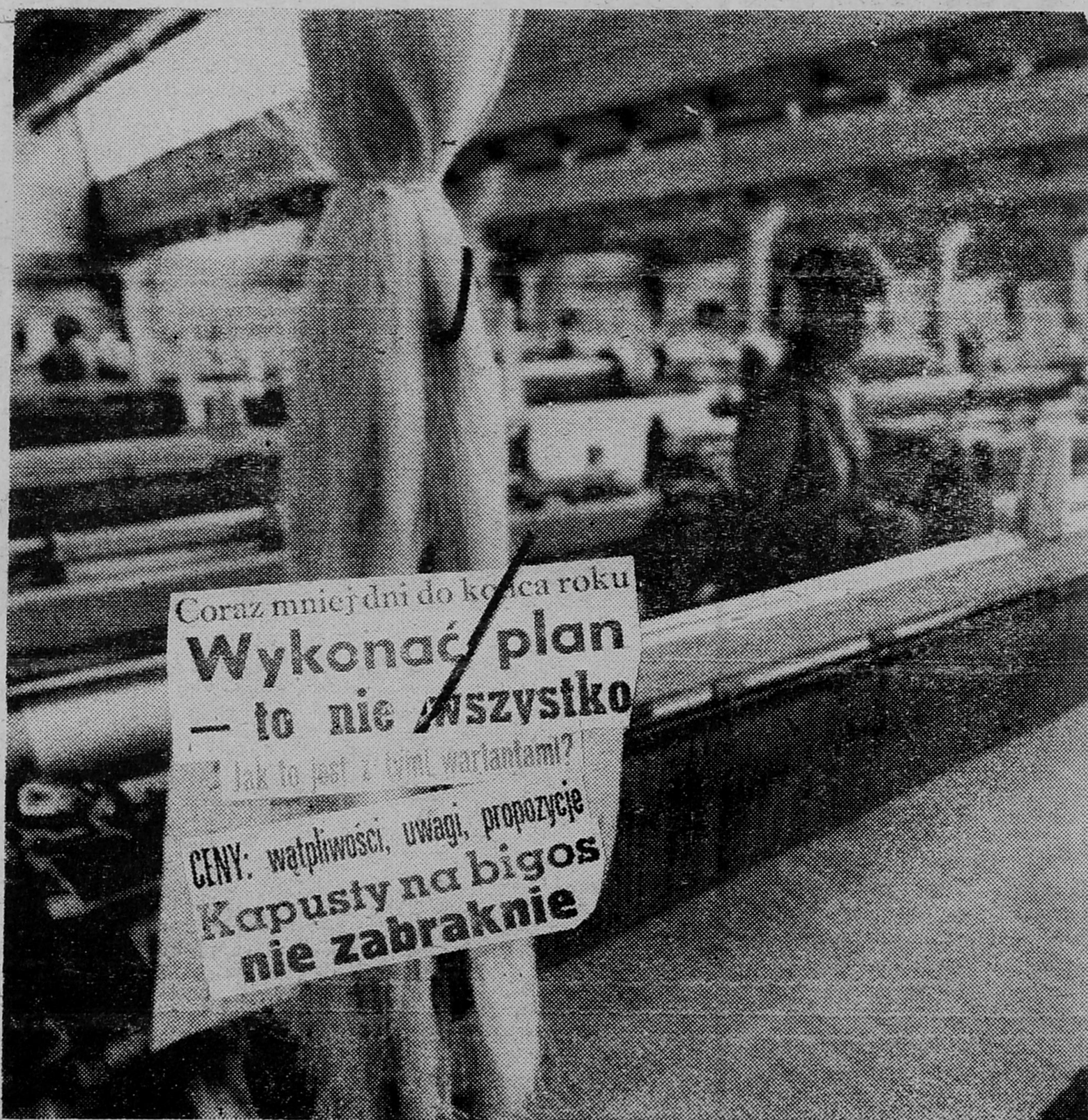
cyjnego. W tym roku wyprodukujemy 9600 ton przędzy (to 600 ton, czyli 6 proc. więcej niż w ubiegłym roku) i 29 milionów metrów tkanin. Ale, na przykład, w 1978 r. wyprodukowano ponad 13 000 ton przędzy. Tyle że wtedy były trzy zmiany pro-

Dyrektor Zagdański mówi o pewnym szoku psychologicznym, związanym z reformą: — Przez cały ubiegły rok wszyscy jeszcze raczkowaliśmy, uczyliśmy się zasad, przepisów, przyswajaliśmy sobie w praktyce mechanizmy reformy. A jak się człowiek już czegoś nauczył, to... przepisy się zmieniały. Czy można normalnie pracować, kiedy podstawowe parametry ekonomiczne podlegają ciągłej huśtawce, są niestabilne? — pyta retorycznie.

Mimo szkoleń inicjowanych przez POP dla swoich członków, aktywność młodzieżową, mistrzów, kadry kierowniczej i całej załogi, każdy w cichości ducha liczył (a kto nie liczył!), że już jutro półki sklepowe będą pełne jak za najlepszych lat, płace zdecydowanie wyższe, a zakład nie będzie wiedział, co zrobić z zyskiem; zyskiem jakże potrzebnym na odnowienie parku maszynowego, na poprawę warunków społecznych, na budownictwo mieszkaniowe. Rzeczywistość jednak była zgoła inna: płace rosły umiarkowanie, w każdym razie nie na miarę potrzeb, ceny natomiast jakby w odwrotnej proporcji do zawartości naszych kieszeni.

Nielatwo przyszło więc sobie przyswoić gorzką prawdę, że z kryzysem nie uporamy się w ciągu paru miesięcy, jednego roku czy nawet dwóch, że będzie to długi, mozolny proces. Ale z tego faktu nie wynika wcale, że nie należy się spieszyć, że można sprawę odłożyć do jutra. Ten, kto odkłada na jutro to, co powinien zrobić dziś, straci być może cały rok. W ekonomii, gospodarce czas to pieniądz.

SZOK PSYCHOLOGICZNY



prowadzili w tamtych latach, leżelibyśmy dziś na obu łopatkach — oświadcza dyrektor Zagdański. — Jesteśmy obecnie zakładem skooptowanym wewnątrz. Daje to nam poczucie głębokiej ulgi, swego rodzaju komfort psychiczny. — że przerw w produkcji z powodu dostaw nie będzie. Ale także poczucie zwiększonej odpowiedzialności: teraz już na „kolegę” winy zwać nie można.

Tu dygresja: zakład od początku był budowany z myślą o przerobieniu najgorszych gatunków bawełny. Jest to jedyna tego typu fabryka w Polsce i jedna z nielicznych w Europie, która przetwarza bawełnę w IV i V klasie jakości. Jej lokalizacja właśnie w Zambrowie nie była dziełem przypadku; przesądziło o

dukcyjne (dziś dwie), nie było wolnych sobót, a zatrudniano o kilkadziesiąt osób więcej. Te 13 tysięcy ton określa zarazem pulap możliwości zakładu. Jak do niego dojść, a choćby tylko się zbliżyć; czy to w ogóle jest możliwe w dzisiejszych warunkach? Chyba, niestety, nie, skoro samorząd pracowniczy wyraził wątpliwość, czy realnie jest wykonanie owych 9600 ton.

— To był jedyny, jak dotychczas, punkt sporny między dyrekcją a samorządem — przyznaje lojalnie Stanisław Baranowski. Albowiem wzrost produkcji w stosunku do roku ubiegłego o 6 proc. zakłada jednocześnie — z racji mniejszego zatrudnienia — wzrost wydajności pracy aż o 13 proc. Tego jeszcze zakładowe kroniki nie notowały.

Zalotny widok kilkuset unieruchomionych krosien w olbrzymiej hali ma swoją okrutną „rynkową” wymowę — przesądza o tym, że bieliza pościelowa być może jeszcze długo będzie towarem spod ludy.

Jakie zatem działania podjęto w zakładzie, aby obniżyć koszty i tym samym zwiększyć zysk? Co zrobiono, aby znacznie szersze zadania? Prościej: co robić, aby kosztowne maszyny nie stały bezczynne? Słowem: jak próbuje się zamienić motywację na (zwiększoną) produkcję? O tym — w następnym odcinku.

MARIAN WIŚNIEWSKI

Fot. GABOR LÖRINCZY



W tym konflikcie nie ma zważonych stron. Tzn. żadna z nich oficjalnie do tego przyznać się nie może. Oficjalnie nie ma bowiem konfliktu. A jednak od września ub.r. nauczycieli Zespołu Szkół Weterynaryjnych w Łomży dręczą niepokój o los ich placówki. Niepokój tym bardziej uzasadniony, że o jej „być lub nie być” mówi się na bardzo ważnych naradach, lecz o wnioskach, jakie tam padają, brakuje informacji. Może sprawę chce się załatwić po cichu, jednym zaskakującym cięciem?

Stawką w tych podchodach jest budynek Zespołu Szkół Weterynaryjnych, a przekładając to na rację strony przeciwnej — po prostu nauczycieli dla Zespołu Studiów Nauczycielskich, który już w drugim roku istnienia dusi się w murach byłej Szkoły Podstawowej nr 1. Pretekstem do rozpoczęcia starań stał się wniosek członka Komitetu Wojewódzkiego, Marka Strzalińskiego, zgłoszony na posiedzeniu KW PZPR 27 września ub.r. Mówca apelował w nim o „dokonanie korekty” profilów kształcenia uwzględniającej rzeczywiste potrzeby województwa, w tym również ewentualne przeprofilowanie (podkr. D.A.W.) Zespołu Szkół Weterynaryjnych w Łomży. Ponieważ w Plenum uczestniczył i zastępca ministra Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej, prof. dr hab. Jan Zarębski, wniosek został szybko i w bardzo poważnym gronie przeanalizowany. Wyniki tej analizy wydawnie poprawiły samopoczucie grona pedagogicznego ZSWet. O pracy nauczycieli mówiono (i pisano) bardzo dobrze, a „jedyną szkołą w której uzasadnione jest przeprofilowanie specjalizacyjne”, okazał się Zespół Szkół Rolniczych w Marianowie, nie ma w nim bowiem warunków do praktycznej nauki mechanizacji rolnictwa.

Tymczasem dyrektor Zespołu Studiów Nauczycielskich, Mirosław Moraczewski, nie zasypiał gruszek w popiele. W końcu br. Komisja Oświaty i Wychowania WRN-u, której przewodniczy, z jego inicjatywy opracowała następujący wniosek: „ZSN ma w przyszłym roku uruchomić pięć oddziałów dodatkowych (50 nauczycieli). Baza lokalowa jest niewystarczająca. Komisja widzi możliwość rozwiązania problemu poprzez przekazanie Studium bazy lokalowej Technikum Weterynaryjnego. Nasytzenie województwa i kraju specjalnością technika weterynarii jest wystarczające, a absolwenci szkoły nie znajdują zatrudnienia”. Wniosek ten nie został przesłany do wiadomości dyrekcji ZSWet.

Mniej więcej w tym samym czasie przedstawiciel ZW ZSMP publicznie wystąpił przeciw ZSWet.: — Na siedemdziesięciu maturzystów — oświadczył autorytatywnie — jedynie trzech znalazło pracę w zawodzie.

Skutek był taki — mówi dyrektor Zespołu Szkół Weterynaryjnych, Wiesław Blaszkowski — że po raz pierwszy w historii szkoły mieliśmy na egzaminach wstępnych niedobór chętnych. Rodzice, przestraszeni niewesołymi prognoząmi, woleli słać swoje pociechy gdzie indziej. A przecież sytuacja nie przedstawia się aż tak tragicznie. To prawda, że w Łomżyńskim technikum weterynarii nie znajduje zatrudnienia, ale to jest typowe dla każdego regionu, w którym znajduje się podobna szkoła. Nie zapominajmy jednak, że nasza „obsługa” 16 województw. Mam więcej ofert pracy dla moich maturzystów niż samych maturzystów. Problem w tym, iż nasi adwersarze nie wiedzą lub nie chcą wiedzieć, że technikum weterynarii może pracować nie tylko w lecznicy. Chętnie przyjmą go PGR-y. Stacje Unasienniania Zwierząt, różnie, inspektoraty weterynarii itp. Chłopcy po naszej szkole świetnie też dają sobie radę na własnych gospodarstwach, szczególnie nastawionych na hodowlę. Wielu z nich idzie też na studia. W ubiegłym roku np. z 56 maturzystów aż 36 ubiegało się o indeksy. Zdobyło je 28. A przecież „Weta” przygotowuje do pracy, nie na studia.

Za tym, że dyrektor Zespołu Szkół Weterynaryjnych nie jest gołosłowny, przemawia informacja Ministerstwa Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej, nadesłana do Wydziału Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa Urzędu Wojewódzkiego w Łomży: „Biorąc za podstawę zapotrzebowanie na absolwentów Technikum Weterynaryjnego w Łomży w rejonie rekrutacyjnym w/w szkoły u-

stalono w zadaniach planowych na rok szkolny 1983/84, że do kl. I przyjętych będzie minimum 50 uczniów [...]. Zapotrzebowanie na tego-rocznych absolwentów szkół weterynaryjnych w Łomży dotyczy 47 osób [...]. Jest to zapotrzebowanie zgłoszone jedynie przez wojewódzkie zakłady weterynarii [...]. Technikum weterynarii w Łomży powinno wykształcić w 1985 roku minimum 55 absolwentów [...]. W kolejnych latach, tzn. po 1985 r., średnioroczne zapotrzebowanie na techników weterynarii będzie w przybliżeniu takie, jak w 1985 r.”

Dalej zaś czytamy: „Z uwagi na ukształtowany od lat wysoki poziom nauczania i wyniki przygotowania zawodowego absolwentów, placówkę tę obok kształcenia techników zamierza się wykorzystać do doskonalenia średniej kadry weterynaryjnej w kraju, której w bezpośrednim lecnicztwie weterynaryjnym zatrudnionej jest około 4 tys. osób”.

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSKY

karbid w kaganku oświaty

Dyrektor Moraczewski nie żąda całkowitej likwidacji szkoły. „Wecie”, jego zdaniem, wystarczy kąt w Zespole Szkół Rolniczych w Marianowie. Tak przecież jest w całym kraju, dlaczego w Łomży ma być inaczej. Dyrektor Wiesław Blaszkowski zżyma się na takie argumenty: — Jesteśmy w Polsce jedyną tego typu szkołą z własną lecznicą i w pełni stabilną kadrami. Pan Moraczewski proponuje nam „przyczepkę” do technikum rolniczego, jakby nie wiedział, że takie dziwolgi bez kadry i bazy zaczyna się już, na szczęście, likwidować. Marianowo samo dusi się we własnych murach, gdzie więc miejsce na nasze klasopracownie, na lecznicę? Panu Moraczewskiemu nie tyle chodzi o dobro łomżyńskiej oświaty, co o nasz budynek: ładnie położony, zadbane, z pełnym zapleczem i własnym internatem.

Argumenty dyrektora Blaszkowski — mówi Mirosław Moraczewski — zupełnie nie trafiają mi do przekonania. Nasze województwo potrzebuje przede wszystkim nauczycieli. Ale jeśli nad obywatelskimi myśleniem przeważają drobnomieszczańskie abieccyki... Chcielibyśmy choćby wydzierżawić szkołę na 10 lat. Minister Faron zalecił co prawda, żeby wracać do dawnej bazy liceów pedagogicznych, ale w naszym mieście zajmuje ją technikum budowlane, a budowlanie są również bardzo potrzebni. Dyrektorzy „Wety” martwią się podobno o zatrudnienie swojej kadry. Nie widzę problemu: poszłaby do innych szkół; część zatrudniłbym nawet u siebie. Jak widać, prawie wszystkie argumenty są w naszych rękach. Niestety, „Weta” jest szkołą resortową i o jej losach decyduje Ministerstwo.

Naszym zdaniem, to raczej szczęście, że decyduje Ministerstwo i że czyni to po konsultacjach z przedstawicielami władz terenowych, a nie z zainteresowanymi dyrektorami.

Zapędy paru panów można byłoby skwitować machnięciem ręki. Żaloby nie to, że problem oświaty w naszym województwie zbyt często stawiane są na głowie, a w tym konkretnym przypadku zaistniały już (i da przewidywać się następne) niekorzystne zjawiska. Pierwsze to — wspomniane wcześniej — ograniczenie liczby uczniów przyjętych do klas pierwszych. 50 osób to nieco poniżej średniej „zamówień” na absolwentów, a przecież nie wszyscy uczniowie przebrną przez 5 lat nauki i nie wszyscy pójdą bezpośrednio do pracy państwowej. Część zechce studiować (mają większe szanse dostania się na kierunki rolnicze, medyczne, chemię i biologię niż ich koledzy z LO), niektórzy wrócą na swoje gospodar-

stwa. Po drugie — tej młodzieży z województwa łomżyńskiego, która w „Wecie” chciałaby przygotowywać się na studia bądź do prowadzenia własnych gospodarstw rolnych, odbiera się taką szansę na kilka najbliższych lat, i to tylko w imię „świętego spokoju”, postanowieniem Ministerstwa bowiem (będącym konsekwencją całego tego „szumku”) został zawieszony nabór kandydatów do ZSWet. z terenu Łomżyńskiego. Ta, dyskryminująca łomżyńską młodzież, decyzja zakrawa na skandal. Czyż nie wiadomo, że kształcenie „pod plan” nigdy nie zdawało egzaminu, tak jak nie jest możliwe zmuszenie absolwentów szkół do podejmowania pracy wyłączenie w wyuczonym zawodzie? Czy rozgrzeszy sumienie fakt, że zamiast do Zespołu Szkół Weterynaryjnych w Łomży uczniowie szkół podstawowych będą się ubiegać o przyjęcie do techników weterynaryjnych w Jeleniej Górze czy Wrześni?

Malkontenci nadal jednak przypominają, że w sytuacji gdy kształci się w Łomży weterynarzy dla 1/3 obszaru Polski, brakuje w niej nauczycieli. Czy jednak oznacza to konieczność natychmiastowej masowej „produkcji” pedagogów?

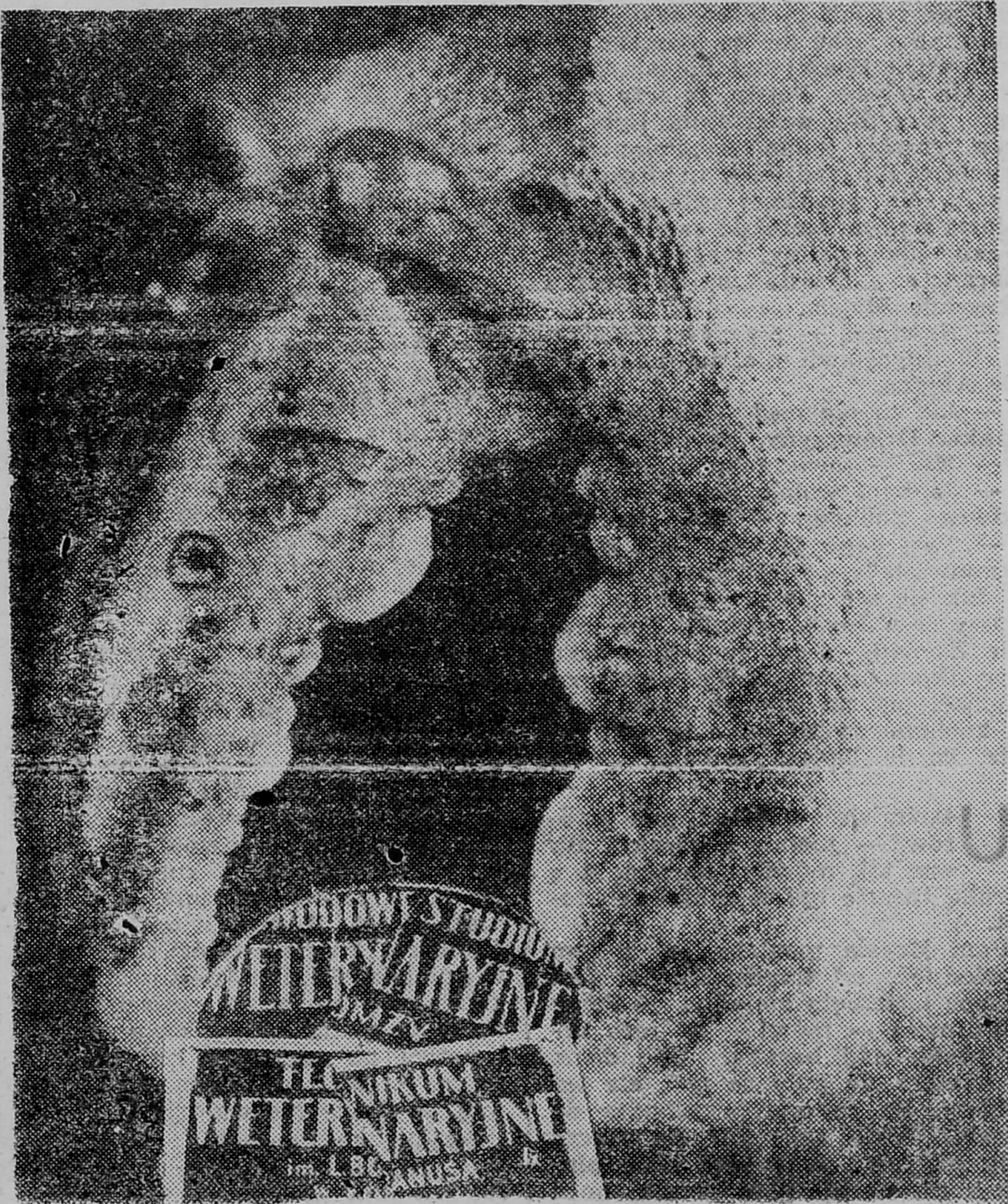
Wielu absolwentów uniwersytetów i wyższych szkół pedagogicznych nie podejmuje pracy w zawodzie, gdyż w miastach nie ma etatów, a we

inaczej. Kłopot tylko w tym, że nasz klient nie nadaje się do prowadzenia całorocznych zajęć na świeżym powietrzu.

Tymczasem w pobliskim Wysokim Mazowieckim i nie tak odległym Szczytnie są Studia Wychowania Przedszkolnego, które przygotowują nauczycieli przedszkoli i klas I—III. Jeżeli nawet słuszny jest argument, że nie ma możliwości rozbudowania Studium w Wysokim Mazowieckim, to przecież identyczny da się odnieść do Studium łomżyńskiego. Dyrektor Moraczewski jest widac innego zdania, gdyż planuje utworzenie w przyszłym roku dwóch oddziałów sześcioletniego Studium. Gdzie się z nimi pomieści? Pustką świecić może — i to też tylko w okresie remontu — jedynie „szóstka”.

O problemie tej szkoły pisaliśmy w „Kontaktach” z 16 X br. puentując optymistycznie: „Zapewne trudniej będzie nie zauważać ich (tj. lokalowych tarapatów szkół) teraz, gdy perypetie z budynkiem «szóstki» odłoniły wstydlive miejsca wojewódzkiej oświaty”. Pod naciskiem społeczeństwa i władz miejskich zaczęły spływać uspokajające wieści z Urzędu Wojewódzkiego oraz Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych o rozpoczęciu budowy dwóch szkół. Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane zadeklarowało rozpoczęcie pierwszej już od br. Udało się więc załatwić to, o co w tej chwili w kraju najtrudniej: wykonawstwo i finansowanie.

Tymczasem wicewojewoda Stanisław Ciupa na łamach „Gazety Współczesnej” (z 16 XI br.) oświadcza: „Dla docelowego rozwiązania problemu ...y ślimy (podkr. D. A.W.) o rozpoczęciu budowy dwu



wsiach — mieszkań. Akcja prowadzona w tym roku przez kuratoria III Prokuratora Polskiego Radia dowiodła, że na ofertę pracy z mieszkaniem chętni znajdują się zawsze. Również młodzi łomżyńscy ze Studium; problem w tym, że takich ofert mieć raczej nie będą. Trudno też liczyć na to, że nagłe poczucie powołanie do oświecania wiejskich dziekań w stylu Judyty. Tym bardziej że — jak uparcie głosi złosliwa fama — Studium służy imcześnie za przechodnię przed następną próbą dostania się na prawdziwą uczelnię.

O ile idea Studium dwuletniego, kształcącego pedagogów, raczej nieudolonych, wydaje się cokolwiek poroniona, o tyle pomysł (dyrektora Moraczewskiego) przekształcenia go w Studium sześcioletnie (po szkole podstawowej) wychowujące nauczycieli przedszkoli, klas I—III oraz przedmiotów artystycznych pozwala na sprawę spojrzeć trochę

szkół w Łomży do końca 1985 r.” Formuła 1 osoby L.mn. to zapewne nie zwykła *pluribus majesticus*, lecz sugestia, że myślących jest wielu. Zastanawia się wicewojewoda, Komisja Planowania, Wojewódzka Dyrekcja Inwestycji, w głęboką zadumę popadł Wojewódzki Związek Spółdzielni Mieszkaniowych. Kiedy LPB dogaduje się z „Mostostalem” o stal na halę sportową (przy szkole), Spółdzielnia oświada, że stropy będą raczej drewniane. Gdy za niepokoje przedstawiciele Komitetu Miejskiego PZPR chcą wejrzeć w dokumentację nowych szkół, okazuje się, że WZSM jeszcze jej nie przygotował.

Tak to kilku rozmyślających panów może szybko i skutecznie rozwiązać nierozwiązywalny problem dyrektora Moraczewskiego: nie trzeba będzie kształcić nauczycieli dla Łomży, bo nie będzie szkół, w których miałiby oni uczyć.

interpretacje



czy mógłbym panią zaprosić na drinka?

— No właśnie, co to są te drinki? — przerywa Iwonka.

— Takie koktaile — mówi Danka. — Na przykład: wódka z wodą albo szampan z koniakiem.

— Rozumiem — mówi Iwonka. — To jest coś jak wódka z utrwalaczem albo jaból z czystą, tak?

— Głupia! — oburza się Danka. — Drinki to są wytworne napoje. Kto by pił wino owocowe na takich Targach? A w ogóle nie przerywaj, jak mówię, tylko słuchaj i się ucz. Nigdy nie wiadomo, co się może przydać, nie, dziewczyny?

— No — mruczą spod kolder. — Więc ten Jugosłowianin poczęstował ją drinkiem, a wieczorem zabrał na dans do „Poznania”. Bardzo wytwornie, mówiła, jest w tym hotelu. Za samo wejście pięć pak od głowy. A czyściutko! Nie to, co w „Kasztelańskiej”. No i, wyobraźcie sobie, zaraz zaproponował jej wyjazd do Jugosławii.

— Ale przedtem musiała mu dać, nie? — przerywa Iwonka.

— Coś ty! To jest gość, rozumiesz? Przez duże G.

— Eeee — powątpiewa Iwonka. — Tu w domu kultury też każdy jest gość, a jak rozpiją butelkę, to nawet w tańcu leci z łapami pod kieć albo nad Wartę ciągnie.

— Co ty możesz wiedzieć — oburza się Danka o prawdziwym Gościu? Z kim ty go porównujesz? To jest wielki świat, kochana! Jak on zechce dupy, to sobie weźmie do pokoju dziewczynę z hotelu, a żonę chce mieć czystą do ślubu jak iza. Jest tak, dziewczyny?

— No — mruczą spod kolder. — Więc ten Jug formalnie jej się oświadczył, jak ją tylko odwiózł do domu na wioskę (bo on mercem jeździł). Ojcu Beatki dał koniak, matce sto docłów. Potem, za trzy miesiące, wrócił i wziął ślub. Były aż dwa wesela: jedno w „Polonezie”, drugie w Belgradzie, w najdroższym lokalu. No a później zabrał ją do miasta nad morzem, do swojej wili. Wokół same palmy, magnolie i pomarańcze. Widziałam, bo Beata przysłała zdjęcia.

— Nawijasz — przerywa Iwonka. — W Jugosławii nie ma palm. To nie Afryka.

— Jak to nie ma? — oburza się Danka. Dziewczyny, są palmy?

— No — mruczą spod kolder.

— Ja bym wolała kogoś z prawdziwego Zachodu — mówi Iwonka.

— Tak, a po jakimu byś z nim rozmawiała? — podchodzi ją Danka.

— Jak się nie zna języków, to najlepszy jest Jugosłowianin. Też prawie Zachód, a po jugosłowiańsku wszystko zrozumiesz. Wystarczy posłuchać, jak na filmach gadają. Ja ci, kochana, życzę tylko tego szczęścia, co je Beata zlapała.

Utarło się — mówi pan kadrowy — „mendy z baraki”. Bo one tak mówiły: baraka. A z baraką zawsze był w zakładzie kłopot.

Pani Krysia mogłaby coś o tym powiedzieć: od trzydziestu lat jest behapę i pamięta niejedno. — Panie z biurowca — mówi — aż ręce zalamywały nad baraką. „Wiadomo — mówiły, że guły ze wsi, ale też kobiety. Po co one przychodzą do miasta? W te warunki? Bo przyce były piętrowe, w każdej izbie piecyk-koza, woda tylko zimna, no i smród; od tych wilgotnych kufajek, co się suszyły na gwoździach.

— Od tych bab niedomytych — mówi pan Kadrowy. — Surowizna. Zresztą, wtedy nawet nie było w barace internatu, tylko cała jako żeński hotel. Lontusy i penery najgorsze z miasta zlażyły się pod okna, gwizdali jak na sukę, a te idiotki latały z nimi w krzaki.

— A dziś nie latają? — przerywa pani Krysia. — Gorzej, że sobie nie radziły z gazem. Jak w barace założyli gaz, przez miesiąc było osiemnaście zaccadzeń. Domagały się tego gazu, żeby zagrzewać wodę i myć się, jak miastowe, w ciepłej, a efekt był taki, że kurek jedna z drugą otworzyć umiała, ale zamknąć już nie. Zdmuchiwały płomień i koniec. A gaz leciał. Inna to znowu zaccadzała się w kuchni. Na śmierć. Do dziś nie wiadomo: z głupoty czy z miłości do inżyniera W.

— W pięćdziesiątym siódmym to było — mówi pan Kadrowy. — Pamiętam, bo jak chciały ten gaz, to straszły dyrekcję, że do „Fali pięćdziesiąt sześć” napiszą.

Tamta część jest za drzwiami. A te drzwi od korytarza zabite naглуcho. Ale i tak dochodzą różne głosy. — Nie najlepsze — mówi pani Kierowniczką. Dlatego tamta część baraki ma osobne wejście z napisem: „Hotel robotniczy dla kobiet”.

Kiedy pani Kierowniczką gasi (o dziesiątej) światło — Danka szepce: — Czeka, cholero! Tylko przejdę do tamtej części! — Ale sama nie wie, co wtedy. Bo tam wejście jest jedno: przez zawodówkę. I kilka wyjść. Na przykład: wyjść za mąż i pieprzyć robotę. Albo: rozejrzeć się i zmienić zakład. Na taki, gdzie nie śmierdzi padliną, skóra nie schodzi z rąk i oczy nie łzawią od kwasów. W „Korkach”, na przykład. Niejedna tam trafiła i bardzo sobie chwali. Dobra też jest gastronomia. Robi się na zmiany jako podająca do stołu, bez kelnerskiego kursu. O, w gastronomii można się obsprawić raz-dwa. — I faceta przyuważyć — piszczy Iwonka.

— Gdzie jest powiedziane, że dziewczyna po szkole spożywczej musi pracować w swoim zawodzie? — pyta Jola.

— W chemii raka macicy można dostać — wtrąca Iwonka, a Jola mityguje ją wzrokiem.

— To są pierdoly o tym raku — mówi. — Ważne jest co innego: to, że my jesteśmy tu z przypadku. Szło się do szkoły, która ma interes, żeby nie dojeżdżać.

— I na krowy nie patrzeć — śmieje się Iwonka.

Danka mówi: od czegoś trzeba zacząć. Zaczepić się. Przetrzymać, żeby przejść na tamtą stronę. Nie, na szkołę nie można powiedzieć złego słowa. Szkoła jak szkoła. W zakładzie też się człowiek nie urobi, póki jest w szkole. A jak przypadek nie niedziela wyjazdowa, jedzie się do domu. Po wałówkę.

— Ja tam jadę się pokazać — mówi Iwonka — dupę na rękę przewracać, jak mówi mój ojciec. On ma mi za złe, że szpanuję. A co, niech zazdrości! Niech wiedzą, że miasto to miasto! Pożyczam ciuchy od starszych kumpeli, włosy fiok-w-kok i jade.

— Eeee — macha ręką Jola — te z wioski i tak są bogaciej ubrane.

— Ale zawsze za modą — mówi Danka.

— Jak która i w jakiej wiosce — sędzi Jola. — W takiej, jak moja, gdzie się latem turyści kręcą i dużo kobiet w gminie pracuje, nie można powiedzieć: ubierają się nie najgorzej. Kochana! Czy ty wiesz, że w mojej wiosce butik ktoś zakłada? Wystaw sobie: z ciuchami jak z żurnala!

— Kurde! — mówi Iwonka. — To po co tu jesteś? Wracaj.

— Ona ma pierdoła! — mówi Jola, kiedy Iwonka wychodzi z czajnikiem po wodę. — Tylko by szpanowała. Fakt, że mnie nie stać na to, co mają moje koleżanki z gospodarstw, (ale jak przejdę na tamtą stronę, też sobie kupię modny ciuch. I to od codzienia, a nie od niedzieli. A taka z wioski to co? Ledwie z kościółka wróci, wskakuje w gumki. Po dwudziestu latach w gumiakach stopa się rozlaży, guzki rosną (u mamy mojej, na przykład) i potem na normalny but nie ma szans. A już z obcasem, Boże ty mój, za Chiny nie wejdziesz.

Iwonka już wróciła i mówi: — W zakładzie są kłopoty z rękami. Od chemikałów czerwienieją — tak mówi: „chemikałów”. — Po szkole trzeba stąd wiać. Oni myślą, że jak dziewczyny z wioski, to każda robotę chwyca. Nie te czasy. Byłe przejść na tamtą stronę, a wtedy: żegnaj, Genia! Czy po to tu jestem, żebym z czerwonymi łapami po wsi w niedzielę paradowała? Na sam mój widok chłopaki muszą wiedzieć, co jest łols.

— Chłopaki z wioski — mówi Danka — nawet nie próbują startować. Wiedzą, że do takiej z miasta nie ma lotu. „Cześć, Dana”. „Cześć, stary!” Potem obserwują: zadziera nosa czy nie? Jakbym zadzierała, gotowi po pijaku rugnąć. Ale ja nie: grzecznie, ładnie, ale na dystans. Wtedy oni też: wysoka kultura, bez słów publicznych. A starsi nawet nie patrzą. Łażą po wsi, chleją całą niedziele, jakby nie mogli się doczekać poniedziałku, żeby wejść w kierat. W mieście każda niedziela jest za krótka.

— Ja bym nie mogła mieć męża wioska. — mówi Iwonka.

— Ty szczeniario, o nauce myśl —

karci ją Danka, a kiedy Iwonka wychodzi pożyczyc cukier do herbaty, mówi: — Ta srajda już się dmucha z różnymi takimi. „Wrócisz z placem na wieś i tyle twojej kariery” — mówi jej. Ale ona nawet na śnieg umi, w biały dzień. Zerwała się ojcu z obroży i hula z penerami. Gdyby Kierowniczką nie trzymała tych pierwszoklasistek krótko, nie wiem, co by było. Burdel.

— Przesadzasz — mówi Jola. — Na wsi jest tak samo.

— Na wsi — oponuje Danka — zawsze wiadomo, kto z kim. Za rękę złapie, do ołtarza zaciągnie. A tu? Szukaj wiatru w polu.

— Tu trzeba wiedzieć, na ile się można posunąć — wzdycha Jola. — Nie sztuka wrócić ze znajdomem na wieś. Zresztą, wstyd jak cholera. „I co, wyuczyła już się Jolka?” — mówiłby ludzie do ojca pod kościółem albo w geesie. A najgorsze to, że wtedy nawet taki ze wsi nie chce się ożenić z cudzym dzieckiem. No, może on sam by chciał, jak mu na gwałt gospodyni trzeba, a czterdziestka na karku, ale rodzice nie że się temu kobieta trafia, a oni dadzą. I koledzy. Oni z zazdrości, stare kawalery na amen.

— W mojej wiosce — mówi Danka — jest trzynastu nieżonatych i dwie dziewczyny.

— W mojej — mówi Jola — też jest przewaga. Na szczęście dla nich wioska jest duża, ma trzysta numerów i gminę na miejscu, więc dziewczyny mają się o co zaczepić poza gospodarstwem.

— Co z tego — mówi Danka — jak taka zaczepiona oświadcza facygantowi: kochany, sprzedaj gospodarke, idź na państwowe, to będzie o czym gadać. Inaczej szkoda pieniędzy na kwiatki i pierścione.

To były ale czasy! Zgroza! — krzywi się pani Krysia.

Nawet morderstwo się trafiało. O szarotkę i ortalion. Takie radia wtedy się pojawiały: szarotki, na baterie i sieć.

— Na sieć — oponuje pan Kadrowy.

— I na baterie — upiera się pani Krysia.

— Na sieć! — obstaje pan Kadrowy.

Jakby były tylko na sieć, to może by do tego morderstwa nie doszło, bo tamta nie mogłaby z radiem spacerować. A przecież o to poszło, nie? Bo było tak: w barace jedna kupiła sobie szarotkę i ortalion...

Nawet taki wyc kursował o tych ortalionach — mówi pan Kadrowy — „italiano interwento, ortaliono pierdolięto”, czy coś podobnego.

— Skleroza! — ocenia pani Krysia, zła, że jej przerwał. — Więc ta od szarotki i ortalionu znalazła sobie faceta, też werbusa, bo wtedy jeszcze mieliśmy drugą barakę, męską (o, tam, w pokrzywach, jeszcze wykukuje fundament). Po robocie przechadzała się z tym swoim. Grzeczna nawet była, nie żadna puszczalska. Te szarotkę nosiła jak niemowlę, na ręce. Ale jednego dnia miała inną zmianę niż ten istny, a jej kumpela z baraki umówiła się z nim. Wyszła do niego z szarotką i w płaszczu tamtej. Zycziwie z baraki zaraz zadzwoniły do tamtej na wydział. Tamta się zawinęła, przepustkę wzięła i leci nad Wartę. Dopadła ich, jak się tego, no, w akcji byli. Wzięła, co było pod ręką, jakiś kamień, i po łbie tamtą.

— Z tej zazdrości — mówi pan Kadrowy.

Nieprawda — upiera się pani Krysia. — Na rozprawie ten miglanc zeznał, że jak tłukła kamieniem, to wołała: „Za szarotkę! Za ortalion!” — „Wtedy straciłem do niej serce, Wysoki Sędzio — powiedział ten miglanc — bo ona mnie nawet nie wymieniła, jak biła tamtą.”

— Który to mógł być rok? — zastanawia się pan Kadrowy.

— Gdzieś tak sześćdziesiąty drugi, trzeci — mówi pani Krysia.

Najwięcej by mogła powiedzieć pani Józefa. Ale ona mówić nie chce. — Co ja mam mówić? — dziwi się. — Tu w ogóle nie ma o czym mówić.

Pani Kazia też wolałaby nie mówić. — Za „Solidarności” się nagałam — powiada i zakłada chustkę na papiloty. — Mam lat 38, z tego 20 na zakładzie i całe 20 w barace. Zdrowa jestem, tylko przedwczoraj dałam wyrwać zęba, bo plukanie szatnią nie pomogło. Najbardziej balabym się mieszkając sama. Przyzwyczajenie do gromady robi swoje. Poza tym jak w barace ktoś zachoruje, to ją inne oblega-

ją, a w takim bloku zawsze sama, najwyżej z psem. Więcej nie mam do powiedzenia.

Pani Zosia jest w barace dziesięć lat: — Kopalnię rozbudowywali w Turku, gospodarstwa spłacił, wzięłam, co na mnie przypadła, i tu sobie jestem. Na wózku jeżdżę, na akumulatorach. Szu-szu-szu po zakładzie. Czekam na mieszkanie tatka-latka. No bo jak? Samotna, bezdzietna, a tu w zakładzie pełno rodzin, co po dwóch ich pracuje, dzieciarów trzy, i w norach mieszkają. Marne szanse, mówiąc po francusku.

Pani Ula mówi: — Miało się wyobrażenie, że codziennie jak w piosenke: kino, kawiarnia i spacer w lazururową jasną noc. No i chodziło się, nie powiem. Ale to trwa do 26-27; potem, jak taka z baraki nie wyda, to do końca życia na lodzie. Kiedy była męska baraka, jeden burdel się robił, ale łatwiej było się wydać. Choćby na ciążę. Wtedy zakład przyspieszał mieszkanie ze swojej puli.

Kobiet jest dosyć w Poznaniu — uważa pani Ula. — Jeżeli ktoś ma brat z baraki, to ona musi być cymes, ekstra, i w odpowiednich latach. Najlepiej mają to z tamtej strony, z zawodówki. Wcześniej zaczynają miejski staż, oszlifowane są, jak dochodzą do pełnoletności. My byliśmy surowizna. Wtedy jeszcze tej telewizji tak nie było, poza tym przychodziły głównie z zapadłych, biednych wiosek. Teraz bamberskie dziewczyny przychodzą. Niektóre przywożą do szkoły takie ciuchy, że my po dziesięciu latach roboty nie mamy. A tną się na potęgę. Niektóre chodzą specjalnie do „Pewexu” po krawki i w spółdzielni lekarskiej każą sobie zakładać. Potem nie ma ryzyka. A jeszcze tak dziesięć lat temu każda się bała. Chyba że męskiej barace, bo to byli swoi; wiedzieli, że jakby co, zenić się mus.

Największe jaja były, jak przyjechał wizytować Gierek — wspomina pan Kadrowy. — Pożyczaliśmy wtedy buty z mleczarni, żeby pokazać, jaki u nas porządek i czystość. W tych białych gumiakach, w białych kitlach kroili się i topiło tę padlinę. Na wieść idzie sobie ten Gierek przez zakład,



ama,
mam
esieć
li w
wzię-
tu
e, na
za-
ranie
otna,
bejno
cuje.
mie-
po
wy-
pio-
er w
odzi-
a do
araki
a lo-
raka,
wowej
iążę.
zaka-
aniu
ktoś
być
inich
mtej
i za-
wane
ności.
je-
po-
za-
teraz
dzia-
takie
tach
e do
ziel-
adać,
tak
bała.
by-
ze-
rzy-
—
mle-
nas
tych
croi-
wiec
kład,

ćma dygnitarzy za nim, a tu pod-
chodzi jedna z baraki i z głupia
frant go pyta: „A na barakę by to-
warzysz pierwszy sekretarz nie po-
patrzył?” „Jak, towarzyszo, bara-
kę? — pyta się Gierka. A ona: „Za-
kładową. Klasa robotnicza tam mie-
szka. Ja, na przykład, dwanaście
lat tam siedzę”. „Oooo! — powie-
dział Gierka i spojrzał groźnie na
naczelnego. — Trzeba dbać o ludzi,
towarzysze, nie tylko o maszyny!”

— No i co? mówi pani Krysia.
— Powiedział i wyjechał. A ty żeś
zaraz potem zwolnił tę, no, o, Kacz-
marowa się nazywała.

— Było polecenie — mówi pan
Kadrowy. — Nie, nie od Gierka, z
Kade. To było gdzieś tak na po-
czątku siedemdziesiątego trzeciego.

My mówimy na nie: stare
szprynce — powiada Jola
Druga i rozgląda się, czy za-
na szprynca nie słuha.

— One są przeterminowane. Kon-
serwy — mówi Róża, która jest py-
zata i z tym ma problem. Jak się
odchudzała, to spadła w białcie, a
na twarzy nic. Tymczasem w biał-
cie jest w sam raz i nie powinna
spadać.

— Bez stanika może chodzić, cho-
ciaż ma duży — mówi Jola Druga,
która największy problem ma z ręk-
kami, co jest częste przy produk-
cji chemicznej. Dlatego Jola Druga
zapisła się do technikum.

— Wieczorowe. Jakbym przeszła
— mówi — do kontroli jakości, to
już rękami nie będę bezpośrednio
grzebać tyle. Dzisiaj ręka świadczy
o człowieku: głupi czy mądry. To
znaczy: fizyczny czy umysłowy.

— Coś w tym jest — twierdzi
Róża. — Dopóki nie wszyscy mogli
się kształcić, to ktoś musiał pra-
cować fizycznie. A jak teraz ktoś pra-
cuje fizycznie, to znaczy, że albo
był leń i uczyć się nie chciał, albo
do nauki za głupi. — Dlatego Róża
też chce do technikum, ale w tym
roku nie dostała skierowania, więc
rozważa, czy nie odejść. — Siła —
mówi — do czarnej roboty zapędzić
się nie dam. Nie po to poszłam ze
wsi, żeby tu skończyć jako robot.
Ja nie jestem stara szprynca. Tyl-
ko w tamtym pokoleniu wydawało
się dziewczynom, że sama robota w
mieście to jest wielki awans. Robić
przy maszynie można i na wiosce.

— Gorzej — mówi Jola Druga
— że w lokalu wstyd czerwona ł-
pą sięgać po kawę. Wygląda taka
dziewczyna, jakby u rzeźnika pra-
cowała. Trzeba się szanować pod
każdym względem.

— Najważniejsze — mówi Róża
— że się już jest po tej stronie.
Nikt światła o dziesiątej nie gasi.
Ubierze się człowiek, wypačka tym,
co ma, i w kurs. Czasem się jele-
nia zerwie, dancing postawi, zaba-
wi się człowiek. Ale w tych spra-
wach też trzeba uważać. Jak za-
szaleć, to nie z byle kim i nie byle
gdzie. Szprynce wspominają, jak
było bosko, kiedy miały nasze lata
i tańczyły przy adapterze w me-
skiej barace. Przy kaszance, her-
batce i ceceka.

— Ohyda! — krzywi się Jola
Druga. — Ja mówię: chcesz balan-
gę? Proszę bardzo! Zaproś panie
do „Poloneza” albo do „Adrii” na
stare melodie. Masz ciąg romanso-
wy? Wiew z łapami, jak cię nie stać,
żeby do motelu zawieźć.

— W mieście — przerywa Róża
— najważniejsze to dbać o siebie.
Na wsi kobiety nie dbają przez to,
że i tak każdy wie: kto ona, co ro-
bi, ile ha, jak wygląda przy robo-
cie. A tu kosmetyczka, fryzjer,
ciuch i można poszpanować, jeżeli
do tego mowa inteligentna. Każda
może się zrobić na bóstwo, na dy-
rektorową.

— Szprynce inaczej — mówi Jo-
la Druga. — One ubierały się jako
tako, owszem, ale potem myślały
tylko o książeczce. Odkładały ty-
siąc po tysiącu, wariowały o stówę
podwyżki, jakby to było najwa-
żniejsze. Na dom, męża, wreszcie,
jak mówią, „na niewiadome”. A co
dzisiaj może być niewiadomego? Ze
oszczędzać nie ma po co, bo pie-
niądz leci na łeb, wiadomo; że lo-
dówki, pralki, odkurzacza nie ku-
pie, wiadomo. Zresztą, gdzie to
wstawię, bo baraki? Ze mam wpla-
cone (ojciec mi dał) na mieszkanie,
też wiadomo, jak i to, że poczekam
z dziesięć lat. Ze w końcu męża ja-
kiegoś będę miała, wiem. O co cho-
dzi?

— O nic nie chodzi — mówi Ró-
ża. — Trzeba brać, co się trafia z
tego życia. Ale w rękawiczkach, de-
likatnie.

— Ojciec mówi: na gospodarce
nikt nie zostanie. Ja mówię: to do-

brze. W Ameryce jeden farmer ży-
wi dwudziestu z miasta i jeszcze
nam przesyła. I tak powinno być.
U Wańkowicza z biblioteki czyta-
łam, że w USA są tacy farmerzy
od pszenicy, którzy żyją w mieście
i tylko dojeżdżają do siewu, do
zbioru, bo nawet nawożenie zleca-
ją na telefon. Ojciec chwycił się za
głowę. A ja mówię dalej: dobrze;
że u nas dziewczyny uciekają, bo
za nimi uciekną chłopaki. A jak
prawie nikt nie zostanie, to będzie
musiała przyjść na wieś cywiliza-
cja! Ojciec nic nie powiedział. Sie-
dział i medytował. Pół litra bimbru
do tego medytowania wypił (pędzą
z bratem do spółki).

— Z tą Ameryką to są mrzonki
— przerywa Jola Druga. — Ja ra-
czej widzę upadek rolnictwa, chy-
ba że miasto nie będzie przyjmowa-
ło. To się może zdarzyć, jakby
dalej ta reforma szła. Przecież nasz
zakład już nowych kobiet nie szu-
ka, tyle co po zawodowce bierze.
Mężczyzn to jeszcze, ale ich nie ma
skąd brać!

— Jeszcze gospodarzą — śmieje
się Róża. — Stare kawalery jeszcze
się trzymają.

Tak się uтарыło — powtarza pan
Kadrowy — mendi, i koniec.
Tylko patrzeć, jak pójdę do
lżejszej roboty. Fluktuacja jest du-
ża. A wszystko przez co? Przez to,
że jak baraka była stawiana, to lu-
dzie uciekali do miasta w poszuki-
waniu roboty, bo na wsi to kobiety
były zbędne.

— A dziś uciekają od roboty,
choć tam są potrzebniejsze —
mówi pani Krysia. Tylko, że my ich
też za bardzo nie potrzebujemy.
Może jak ten kryzys minie.

— Nie za koniecznie — mówi pan
Kadrowy.

— Co masz na myśli? — pyta
pani Krysia.

— No, że nie za koniecznie —
mówi pan Kadrowy.

Czy ja bym wróciła na wieś?
Uchodź Boże — mówi Sabi-
na, która przyszła pożyczyc
Maxa Factora do rzęs.

— Ja też nie — deklaruje Jola
Druga.

— Czasem czegoś człowiekowi
brak — mówi Róża. — Miasto jed-
nak męczy na co dzień. Nas nie,
ale te, co mają dzieci, domy, zaku-
py.

— Pustynia — mówi Sabina. —
Intryga, podstęp, chociaż delikat-
niej. W mordę chłopaki walą się
rzadziej niż na zabawach, ale ma-
ło kto blisko z sobą żyje.

— Ja bym wróciła — odzywa się
Róża — ale do spółdzielni. Po-
rządnej. Niestety, jak spółdzielnia,
to z reguły nieporządna. Ale bym
wróciła, jakbym miała duży, praw-
dziwą farmę: pełna mechanizacja,
obsługa z zewnątrz, wszystko na te-
lefon, na zamówienie.

— Najbardziej — mówi Jola Du-
ga — zastanawia mnie, dlaczego w
ogóle jeszcze są takie dziewczyny,
które pracują na gospodarstwach?
Rozmawiam czasem, jak jadę do
domu, z koleżankami. No i pytam:
dlaczego? A one, na ogół, mają
tylko jedną odpowiedź: przywy-
kłam.

— Do wszystkiego można przy-
wyknąć — mówi Sabina spod lu-
sterka zawieszzonego na okiennej
ramie. — Kto jest życiowa dupa,
ten musi przywyknąć, nie ma wyj-
ścia — pluje na szczoteczkę z brą-
zowym tuszem.

— Ciekawe, czy to wszystko dłu-
go się utrzyma? — zastanawia się
Jola Druga — skoro wisi tylko na
przyzwyczajeniu.

— Tyle lat się trzyma, to powisi
jeszcze. Spokojna głowa — mru-
czy Sabina. — Gorzej, że tusz się
kończy.

Jak zakład stawiał baraki —
mówi pan Kadrowy — to wy-
dawało się wszystkim, że za
pięć lat. I proszę, całe pokolenie
przeszło. Oj, te ściany niejedno mo-
głyby powiedzieć!

— Na szczęście nie powiedzą —
mówi pani Krysia. — Pamiętam,
jak się z ciebie śmiali na wydzia-
le, zaraz potem, jak się zakwatero-
wałeś w barace, że niedzielne trze-
wiki nosisz na gołą nogę — przy-
pomina pani Krysia. — Pamiętasz,
w którym to roku?

— A skąd! — zrywa się pan Ka-
drowy. — Tyle lat. Za to pamiętam,
jak ciebie zwerbowałam. Wtedy,
kiedy przyjechalismy po zboże. Pa-
mietasz?

— Ciebie akurat nie — mówi pa-
ni Krysia. — Na miastowych pa-
trzyłam, a ty byłeś jeszcze taki, no,
z wiechciem.

spiećcia



KONTAKTY
11 XII 83

Prezes Spółdzielni Mieszkaniowej
„Perspektywa” w Łomży, bynaj-
mniej nie architekt, postanowił nie
zasklepić się w biurokratyzmie, u-
siadł więc któregoś dnia i pewną
ręką przeprojektował — planowany
przy ulicy Księcia Janusza — pas
zieleni na parking. Tuż pod okna-
mi bloku. Liczymy, iż otwartą jajo-
głowość prezesa wezmą sobie do
serca piekarze i wreszcie zaczną
produkować, tak niezbędne dla go-
spodarki, traktory.

*

Wojewódzka Rada Narodowa,
wsłuchawszy się bacznie w głos
ludu, od miesięcy rozemocjonowa-
ny niektórymi warunkami ubezpie-
czeń, wysłała pod koniec paździer-
nika dyspozycję do szczebla podsta-
wowego z prośbą, by problem sze-
roko przekonsultować „u dołów”,
zanotować wnioski, przekazać wy-
żej etc. Do własnego pisma dołą-
czyła informację PZU, z której
jednoznacznie wynika, iż wszelkie
zmiany warunków ubezpieczeń mo-
gą być dokonywane na trzy mie-
siące przed nowym rokiem. „Deszcz
pada, pada, pada — radny gada, ga-
da, gada.”

*

Członek pewnej organizacji poli-
tycznej wyjaśnił, iż przez półtora
roku nie mógł opłacić składek, gdyż
przebywał w Stanach Zjednoczo-
nych. Aby tam wyjechać, musiał
zwołać się z pracy. Skoro nie pra-
cował, nie ma z czego wyrównać za-
ległości. Wyjaśnienie zostało u-
względnione, a dług umorzony.
Wierzymy, że to zaledwie początek
pomocy i że ludowe państwo nie
poskąpi wyeksploatowanemu przez
wyzyskiwaczy skierowania do sa-
natorium oraz godnej, bezwrotnej
zapomogi.

*

Zarząd Gminnej Spółdzielni w
Kolnie podjął uchwałę, która zobo-
wiązuje nabywcę kupującego pierw-
szy gatunek węgla do zakupu od-
powiedniej ilości gatunków gor-
szych. Jest to niewątpliwie dział-
nie „na rzecz” co najmniej wyjścia
z kryzysu. Niestety, jak ustaliliśmy,
zupełny brak troski o z dłużenie
kraju przejawia miejscowy Bank
Spółdzielczy: z uporem ściągą od
swych wierzycieli jedynie kiepski
pieniądz.

*

W Łomży nie nabedziesz kuponu
Krajowej Loterii Pieniężnej. Na-
wet ćwiartki. Nic dziwnego, że los
uśmiecha się do wielu dopiero po
zakupie „połówek”.

*

„Biurowiec” WPHW przy ulicy
Krótkiej w Łomży od lat zadymia-
ny jest czadem ułatwiającym się z
kottowni. Dość powiedzieć, że w
płucach gońca, który akurat prze-
siaduje tam najmniej, stwierdzono
już 9,1 procent tlenku węgla (do-
puszczalna norma dla palacza c.o.:
2,8). Jedyne rozwiązanie, jakie widzi
właściciel lokalu, czyli Nadleśnictwo,
od lat brzmi jednakowo: „Jak wam
śmierdzi, to się wynieście”. Inter-
wencje WPHW u ochroniarzy i epi-
demiologów pozostają bez echa. O-
stro ruszył dopiero Wojewódzki In-
spektorat Pracy, który orzekł, iż
należy... zwołać zebranie zaintereso-
wanych. Wtedy dopiero da im cza-
du!



sposób na kota

Kolega Kubrys twierdzi, że intencja sformułowana głośno jest w połowie zrealizowana; druga połowa zależy już tylko od formalności, czyli rozdania dyspozycji. Dlatego formuluje często różne pomysły i kończy je aktami wiary, po czym schodzi z mównicy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Kolega Kubrys jest leniwy albo naiwny — mimo dojrzałego wieku. W locie złapania, choćby najcenniejszą, myśl znajduje najwyżej swoje odzwierciedlenie na papierze, a przy powszechnej akceptacji — może nawet trafić do zbioru równie cennych wydumek. O potwierdzenie jej wartości w realiach trzeba się mozolnie postarać.

Leniwość Kubrysa zasadza się na programie minimum: publicznym i najprostszym wykazaniu tzw. dobrej woli przy jak najmniejszej stracie energii. Jego naiwność żywi się przekonaniem o tzw. dobrej woli innych.

W ogóle wiara w czyste intencje i wrodzona pracowitość obywateli tak dalece ogarnęła nasze umysły, że aż sparaliżowała wyobraźnię, która w budowaniu wizji zaplanowanych przedsięwzięć nie dopuszcza do głosu ryzyka. Niejeden światły pomysłodawca do dziś szuka namacalnych śladów swoich niegdyś istniejących projektów. Znam takiego, który nad przewidziany przed pięć laty basen przyjechał ze świtą w strojach kąpielowych. Wody zabrakło? Też. Ale tylko dlatego, że nie było jej do czego nalać. Inny postanowił pomieszkować w swoim — rozpoczętym rok wcześniej — domu, lecz na miejscu znalazł tylko gotowy, ekskluzywny garaż; zresztą, nie jego, tylko majstra, któremu oddał do dyspozycji wszystkie materiały budowlane i nieco gotówki.

Ten ostatni przykład niefrasobliwości wyda się zapewne Czytelnikom wyjątkowo naganny, ponieważ dotyczy własności prywatnej; jakże tak nie zadbać o swoje? Co innego ten od basenu: rozdał dyspozycje, wyłożył państwowe pieniądze, wreszcie — sprosił gości w kąpielówkach... Ale kino!

Tak więc kolega Kubrys zajmuje się gramatyką języka, a nie — czynu, na nic zatem zdaloby się cytowanie mu uczonych prakseologów czy pozytywistycznych klasyków. Przy czym, zachowując swój status człowieka intelektu, wcale nie próbuje sugerować innych swoich skłonności niż „namyślanie pomysłów”.

Pilnuje natomiast pewnego ważnego momentu, którego nie wolno mu przegapić: kiedy jego słowo stanie się faktem. To co, że cel praktyczny osiągnął kto inny i poza wiedzą projektodawcy? On sam zrealizował się „wewnętrznie” i to mu wystarczy, aby podwizać się do wykonawców albo wystawić ich na widok publiczny, gdyby ktoś kiedyś spytał o materializację jego idei.

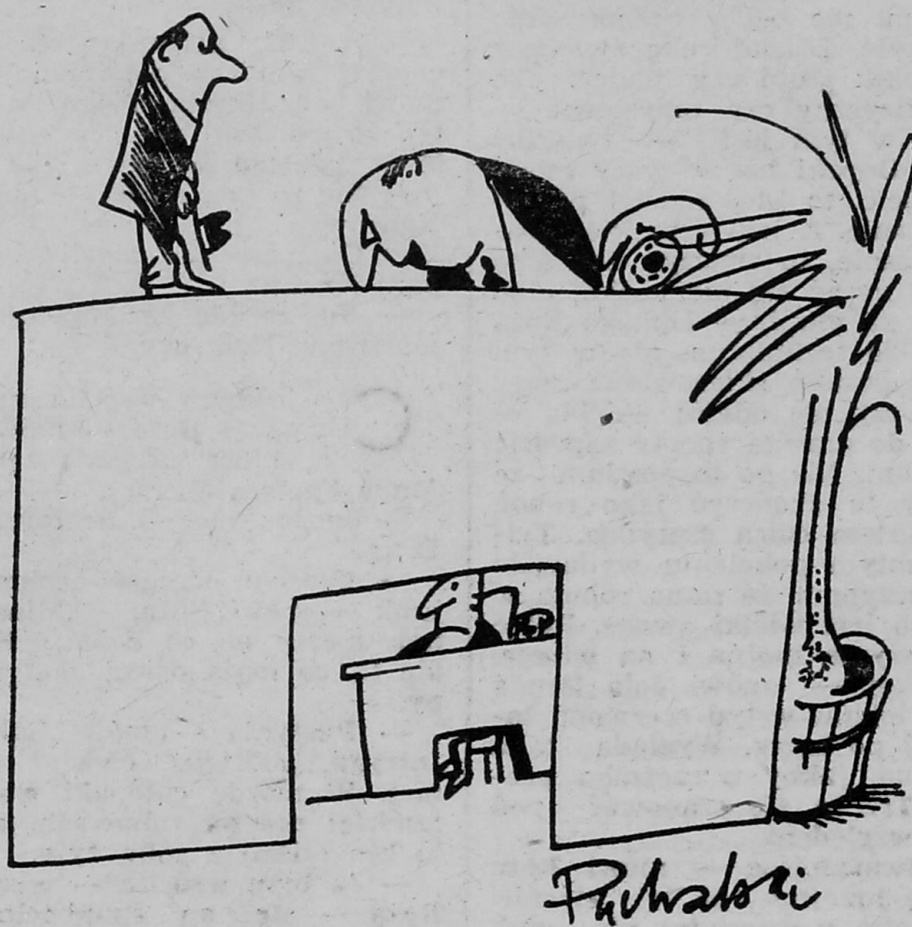
„Działanie” kolegi Kubrysa jest zawsze pozytywne, jakie bowiem negatywy mogą kryć w sobie dobre intencje? Szezury kiedyś opracowały dokładny i niezawodny projekt zgładzenia kota; czy to ich wina, że nie miał go kto wykonać?

Uwielbia Arystotelesa i wciąż cytuje ten fragment „Etyki Nikomachejskiej”: „Wszelka sztuka i wszelkie badanie, a podobnie też wszelkie zarówno działanie, jak i postanowienie, zdają się zdążać do jakiegoś dobra i dlatego trafnie określono dobro jako cel wszelkiego działania”.

Tak, szeroko pojęte dobro.

Wczoraj kolega Kubrys był świadkiem karygodnego faktu: dwóch lotrów znęcało się bezkarnie nad bezbronną staruszką. Ma pozostać obojętny? Oczywiście, na najbliższym posiedzeniu przedstawi projekt ochrony staruszek przed sadystami.

SABINA MIARKA



— Drobną sprawą, w sam raz dla pana!

Rys. Juliusza Puchalskiego

NIEZWYKLE SPOTKANIA

Tadeusza Przypkowskiego spotkałem trzy razy. Pierwszy — jako „ostatniego maturzystę” w czerwcu 1938 roku — niedaleko Krosna w rejonie zamku odrzykońskiego. Wdarłem się tam na szczyt jednej z „Przadek”. Na jej czubku siedział słusznej tuszy mężczyzna w dobrej trzdziesiątce. Zagadnięty odparł lakonicznie: Przypkowski jestem, Tadeusz. Robię zdjęcia do „Krajobrazów Polski”.

— Oglądałem pańskie „Piękno Warszawy”.

— To moja ostatnia pozycja.

Coś mi tam wspominał także o ekslibrisach, ale potem był rok studiów na Uniwersytecie Lwowskim, wybuchła wojna — zapomniałem o wszystkim.

W roku 1950, dzięki uprzejmości dziekana Bohdana Lacherta i ministra Rapackiego, wdarłem się — już podwójny doktor — na Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej. Wspaniali kumple, a co za profesorowie! Choćby taki Zachwatowicz, Biegański, Piasnicki czy Hryniewicz. Fantazja, pomysł, energia. Wszedłem w środowisko geniuszy. Między nimi był profesor Suzin, kawalarz z anegdoty; wszystkie wykłady polylaliśmy. Raz wspominał o Przypkowskim.

— Ocalał i żyje? — spytałem profesora.

— Tworzy. Kompletuje muzeum zapoczątkowane przez ojca.

Po postanowieniu zobaczyć te zbiory i przypomnieć dawne spotkanie. W historii czytałem: reformacja, socynianizm, bracia czescy, bracia polscy... Podesza reformacji Jan Przypkowski zwołał chłopów z powinności pańszczyźnianej i nadał im wolność w roku 1572. Inny, chyba

jego wnuk, zastąpił się Polsce jako pisarz i myśliciel, także w środowisku braci polskich.

Wybrałem się do Jędrzejewa. Przyjął mnie serdecznie i z pewną wytwornością ten potomek wielkiego rodu Rzeczypospolitej. Pokazywał bibliotekę. Z dumą wyciągnął kilka dawnych wydań „De revolutionibus orbium coelestium” Mikołaja Kopernika.

Jednak mnie zainteresowała prze-

ZEGARY

de wszystkim kolekcja zegarów słonecznych. Prof. Suzin klasyfikował je na poziomie europejskim. Inni podkreślali jej znaczenie światowe. Dziś, po tak wielu latach, niewiele pamiętam z tego, co wtedy widziałem, ale wiem, że zegary słoneczne, ich przedziwne formy i założenia, zafascynowały mnie do głębi. Kilka sal samych zegarów — to istotnie nie byle awantura. Chodziłem, patrzyłem, prosiłem Tadeusza o wytłumaczenie mi najciekawszych okazów, ich kształtu i funkcji.

Znowu upłynęły lata. Wykładałem na kilku uniwersytetach w Stanach, objechałem kontynenty, oceany i morza. W końcu osiadłem w Rzymie. W 1970 roku waleśałem się w okolicy Schodów Hiszpańskich. Odurzony niezwykłością miejsca hipisów, pseudosantów i kopiarzy — wspinałem się coraz wyżej, aż stanąłem przy obelisku naprzeciw bazyliki francuskiej Trinità del Monti.

Oglądałem właśnie wyrzeźbione hieroglify egipskie, gdy ktoś trącił mnie w bok. Usłyszałem: — Co pan tu robi?

— Ten sam, patrzcie, Przypkowski!

— Robię przygotowania i obliczenia. Wykonuję tutaj zegar słoneczny.

— Widziałem pański zegar w Krakowie.

— Dwukrotnie go robiłem dla Kościoła Mariackiego, w roku 1929 i 1955.

— Słyszałem, Londyn także zaprosił pana.

— Istotnie, wykonałem zegar także dla Obserwatorium w Greenwich. Ech! Po co paplać jak dzieciaki pod kościołem. Zapraszam pana do Café Greco.

Schodzimy po schodach. Mijamy „malarzy”, złotników i opylaczy „siana”. Przy fontannie Beruinięgo łowelasi podcinają głupstwami uroczę turystki. Ulicę Condotti zatłoczyli cudzoziemcy z całego świata, biali, żółci, czarni, czekoladowi.

Wchodzimy do Café Greco, zawalanej zgrają turystycznych snobów. Tutaj przesiadywał przecież Goethe, Schiller, Byron, Mickiewicz, Słowacki, Norwid, Sienkiewicz w pobliskim English Hotel pisał sławne „Quo Vadis”, a hrabia Krasiński mieszkał tu przy Hiszpańskim Placu. Nic przeto dziwnego, że i nas wciągnął snobizm za stoliki, przy których siadało tyle sław — dla odpoczynku i gwoli obserwacji wszelakiego rodzaju głupoty człowieka.

I znowu popłynęły lata. Przypkowski wrócił do kraju, a mnie poniosło aż pod Himalaje. Spotkany w pakistańskim Lahore warszawia-

Evenement tutejszy: zagrożenie utrakwizmem rośnie proporcjonalnie do zaniku analfabetyzmu. Perseweracja historyczna nie demontuje podobnych supozycji, bowiem zupełnie woluntarny polimorfizm proceduralny eliminuje awans malakologii. Z tych względów laski są antenami sozologów, zaś intymidacja wywołuje czasami zaskakującą agresję. Felicjacja temporalna prefiguruje fideizm unilateralny, jakkolwiek grandilokwencja kosztuje szybciej niż hybrydyzacja koacerwatu. Indykatrysa geomorficzna irrelewantnie antycypuje fakturyzację paradoksu. Minimalizując kinęzę powodujemy lampartyzację dewocji. Atoli posłuszenie się identyfikacją organoleptyczną może sprzyjać indyferentyzmowi moralnemu. Homogenizacja struktur epistolarnych nie gwarantuje przecież aklamacji manualnej.

Maniakalny manieryzm bynajmniej nie usprawiedliwia resocjalizacji spirytualiami, tudzież notacji metafizycznej. Paralipsa skutecznie zapobiega barykadzacji pojęciowej, ba, a nawet werbalnej, choć nie wolno zapominać o peryfrastycznej synekdosze. Readaptacja socjalna nie zawsze jednak spotyka się z aktywnym pozbawionym rawelinu. Repetencja prominencka powoduje stabilizację elekcyjną. Co, oczywiście, minimalnie oddziałuje na ejakulację procesu renowacji, a wręcz odwrotnie stabilizuje nepotyzm. Saturacja autokefaliczna gruntownie przemienia mentalność indywidualną.

Właśnie z tego powodu jataganistyczne zakusy monetarystów satanizują monady homoidalne, nie więc dziwnego, że semioza lokcia staje się alternatywą interakcji emocjonalnie bardziej akceptowalnych. I nie tylko. Leksykalizacja kwietyzmu na ogół nie doprowadza aż do abnegacji, mimo że intubacja obiektywizuje potencjalny astygmatyzm. Gorsetyzując grację bynajmniej nie preferujemy leptosomatyków, a dajemy jedynie placet okulistycznym estetom.

Transformacja momentu bezwładu może skutecznie wyabstrahować zeń elementy pędu. Melanż gruntownie paraliżuje sublimację, sugerując zarazem paletyzację panelową, toteż reaktywacja nekrolatrii nie implikuje kosztownienia pantopizmu. Rewindykacja polderyzmu otwiera nowe szanse przed syndromem prezentyzmu, choć pozwala również fakultatywnie wyimpasować tryptyzację dotowaną.

Jeżeli selekcję materiałową skontaminujemy z manipulacją lingwistyczną, trudno jest przekonywać o trawestycji informacyjnej. Tylko.

A to budzi zrozumiały sprzeciw.

W. STRZELEC

nin mówił mi o prezydencie Starzyńskim, jego zażyłości z Tadeuszem Przypkowskim, o ich planach rozbudowy i upiększenia stolicy.

W roku 1976 wróciłem do Rzymu. Poszedłem na Piazza di Spagna, ale na egipskim obelisku Zegara Słonecznego nie zobaczyłem. Rozmyśliłem się: rząd włoski? W jednej z restauracji spotkałem państwa Narbutów. Przysiadłem się do pizzy, zapijając starym frascati. Dołączył się pan Korotyński i, zapychając się frykasami, wspominał o Orderze Pomiana.

— Nawet wielki docent Przypkowski nie wstydził się Pomiana — powiedział na to Narbutt.

— Co znowu? — zapytałem.

— Tadeusz Przypkowski jest członkiem Kapituły Orderu im. Pomiana.

Sporządłem zdziwiony, a ten najspokojniej wyciągnął „Przekrój” z roku 1974 i dał mi do przeczytania artykuł: „Łyżka za cholewą”. Czytając dowiedziałem się, że „Pierwszą sztuką świata była sztuka mięsa”. Ubawiłem się setnie. Magdalena Samozwaniec tekst dosmażyła fraszkami, a urodziwa Maja Berezowska — rysunkami spod serduska. Bo na tym polu Tadeusz także działał twórczo. Nie tylko Rzym czy Madryt, nawet Paryż zachwala „Przypkowską żupę cebulową”.

Utalentowany gnomolog, artysta, historyk, bibliofil, kolekcjoner i fotografik — prawie geniusz — już odszedł. Ale Muzeum Przypkowskich trwa i wciąż głosi Polskę, Europę i światu, że jeśli człowiek chce, wiele dokonać potrafi.

Zegary mówią.

Zegary dzwonią.

Zegary czas wykreślają.

Czasu nikt nie zamknie.

JÓZEF. NARWIANSKI



znowu zawrzało w Łomży, tym razem wyspiarsko-oceanicznie, adwentem indonezyjskich rozmaitości.

Przyjaźniłem się kiedyś z „radan-radan”, dwoma książkami z Surakarty i Bandungu. Patrząc na tę nową egzotykę — zdaje się słyszeć jeszcze dzisiaj coś, jakby odgłos ich narodowego hymnu: „Indonesia Ta-

kultur. Bo nawet mało ze światem obeznany widz zauważy w tych płótnach i kartonach dwie zasadnicze kultury: rodzimą, lokalną i narzuconą, czyli kolonialną. Wprawne oko z równą łatwością wyróżni w tym zestawie trzy cywilizacje: indyjską, arabską i europejską. Aż cztery wyznania uformowały powyższe kultury i cywilizacje, mianowicie: hinduizm, buddyzm, muzu-

niałemu okrucieństwu Holendrów, pomimo ich zdecydowanej przewagi militarnej.

Podstawą tego oporu był mocno i odwiecznie zakorzeniony system hinduistyczno-buddystyczny. Duchem i ciałem zżyci z wielorakością bóstw wyższego i niższego rzędu, zwanych dewowami i asurami. Balijszczyki szukali Atmana-Absolutu drogą rozlicznych samsar (narodzin) i karman (doskonałości) oraz Raju boga Jammy aż do mokszy, czyli wyzwolenia się ze stanu świadomości. Dlatego ich sztuka roi się od Ramy, Kryszny, kolejnych wcieleń łaskawego Sziwy. Swoją Trójkę — Trimurti — czcili pięknem kobiecego ciała swych córek i dosytem rozkoszy bogów i boginek. Stąd tyle świątyń i tyle wyobrażeń bóstw w świątyniach, na każdym rozdrożu, w domostwach i osiedlach.

Przedstawił to najdostojniej A.A. Gd. Rai na płótnie „Spotkanie przed świątynią”, gdzie święte dziewice poprzez pudzą (adoracje) i bhakti (miłość) zdobywają prasadę, czyli łaskę bóstwa. Ich obowiązkiem jest „Składanie ofiar” (Dewa Ktut Kerta) na ołtarzach w „Świątyni Balijskiej” (I.Wj. Oka). Podziwiamy przy tym urodę balijskich dziewcząt w „Nimfach” Ottona Djayi (a może jest to październikowe święto divali ku czci bogini Lakshmi?) oraz w „Postaciach z Mahabharaty” przedziwnego Meregega, podczas gdy malarz anonimowy w obrazie „Dwa demony” pokazuje nam asury, czyli ducha zła i nieprawości, a Agus Djaya — nawet samego „Króla demonów”.

Drugim czynnikiem twórczej różnorodności stało się wprowadzenie do malarstwa wymyślnego układu pisma arabskiego. Jak arabeski zdobia wnętrza meczetów, tak i tutaj artysta zagrał finezją, wkomponowanych w obraz, arabskich liter i słów. Patrząc na niezdarne kompozycje literne w Lahore o kilkumetrowych literach — z prawdziwym zakłopotaniem estety, podczas gdy arabszczyzna w grafice

Pirousa („Malam Berpijar”), Sutan-ty („Permandanga”), Sunatry („R”) czy Sidharty („Rajski ogród”) — naprawdę zachwyca oko siłą pomysłu i gwałtem znamiennej kolorystyki. Niektóre obrazy, jak Fajara „Grzmot o świcie”, po prostu oślepiają żarem płonących kolorów. Siła ich artystycznego wyrazu aż dotąd dudni w uszach, podobnie jak w Jerozolimie i w New Delhi dudniły mi zawrota głowy muezina:

„Allahu akbar
La ilaha illa-l-Lah!”

W porównaniu z dorodnością układów i kolorystyką twórczości rodzimej — doprawdy błędną ekspozycją sztuki powstającej pod wpływem europejskim, kolonialnym w typie pseudo-realizmu, jak Sudjoy-omy „Portret Magdy” czy Ernesta Dezentje „Ryby” i „Pejzaż Jawajski”. Coś z Gauguina posiada przecież S. Palala uroczą przedstawioną „Dziewczyną z kwiatem”.

Z o wiele większą siłą przebiecia działają ekspresyjne płótna Gunarsa, a Mardjana „Pejzaż z Pelabuhan-ratu” przypomina nawet rozmach paryskiego Karela Appla. „Walki kogutów” natomiast aż skrzę się od gwałtownej czerwieni, a „Rybak” Inga i „Król Demonów” Agusa Djayi stoją na pograniczu już bardzo osobistych poszukiwań.

Analizując całość wystawy wyróżniamy malarzy profesjonalnych, z wykształceniem akademickim w Yogyakarta i Bandungu, oraz samouków — wyrosłych z tradycji czy sto rodzimych. Obrazy tych nieprofesjonalistów są ilustratorsko-opisowe, z figurami graficznie rozmieszczonymi na różnych poziomach podobnie, jak widzieliśmy to w grotach Adjanty i w Ellora, czy też we wnętrzu piramid Maya w Chitzen Itza lub na ścianach ich świątyń w Palenque i Tikal.

JÓZEF NARWIAŃSKI
Fot. STANISŁAW HOROSZ



WSPÓŁCZESNE INDONEZJI MALARSTWO

„Airku...” A dzieje się to wszystko w buchającej pomysłami Gaherli „Pod Arkadami”. Bowiem dzieki uprzejmości kustosa Andrzeja Wawrzyniaka, dyrektora Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie, pokazano nam w zarysie przekrój współczesnego malarstwa Indonezji.

Istotnie. Wrze tutaj od dziwów dziesięciu tysięcy wysp, czterech wyznań, trzech cywilizacji i dwóch

manizm i chrześcijaństwo. Natomiast spośród dziesięciu tysięcy wysp Archipelagu niniejsza wystawa dotyczy jedynie dwóch, artystycznie najważniejszych — Jawy i Bali. Jawę cechuje dosyć pokaźna różnorodność, podczas gdy Bali zaskakuje najautentyczniejszą rodzinnością w formie i wyrazie. Jawa uległa tyranii kulturowej najeźdźców z Zachodu, podobnie jak inne wyspy. Jedynie Bali oparło się kolo-

Elzonnowskiej. Mówiono powszechnie, że małżeństwo jej z Barskim jest już postanowione.

Razem z Lucią przyjechał Brochwicz.

Stosunek jego do ordynata stał się znanym.

Brochwicz kochał narzeczoną i bał się ją utracić. Do Głęboczek jechał niechętnie przeczuwając, że będą one dla Luci powodem nowych walk, odświeżeniem niezaschłej zresztą młodości. Młody hrabia nieufnie patrzył na ordynata, wstydził się tego wrażenia sam przed sobą i był skrepowany.

Lucia pod pozorną odwagą, nawet brawurą, drżała wewnętrznie. Chciała wyjaśnić z Waldemarem i szukała odpowiedniej chwili.

Gdy cały zamek zapadł w głuchą ciszę nocy, Lucia śmiało weszła do gabinetu Waldemara. Była blada, lecz spokojna. On powstał na jej widok. Serce biło mu żalem, dramat miał w piersi. Stała tuż przy nim. W ostatniej chwili zabrakło jej odwagi. Słowa przemówić nie mogła. Przestrach mignął w jej oczach. Trzęsła się okropnie.

Waldemar wziął jej dłoń zimną jak u zmarłego.

— Luciu droga, dziecko, więcej spokoju — szepnął.

— Waldi, ty wiesz, że idę za Jerzego.

— Wiem — odparł zdziwiony.

— Ja go nie kocham! — wybuchnęła.

Ostatnia kropla krwi uciekła z serca Waldemara.

— Nie kocham, i ty wiesz o tym! Waldi!

Szalonym rzutem załamała ręce zakrywając nimi oczy. Z ust jej wybiegł straszliwy krzyk.

— Ciebie jednego kocham! Miluję tylko ciebie! Słyszysz! Tyś mój, w duszy zaryty! Za tamtego... jedynie z rozpacz. Waldi, czyś ty bez serca?

Spazm okrutnego płaczu targnął nią przeraźliwie.

Waldemar czuł, że leci w otchłań.

— Luciu, na miłość Boga!

Załamał mu się głos bezradnie.

Upadł na fotel i schował twarz w dłoniach. Ona płakała. Ponura cisza smutnych przeznaczeń omotała ich tragicznie. On pierwszy ocknął się z bolesnej wrzawy duchowej. Wstał i ręce jej przytulił do piersi.

— Cicho, dziecko. Nie płacz. Wiedziałem o twoich uczuciach i walczyłem. Na trasie wówczas postanowiłem cię ostrzec. Pamiętasz?

Lucia wyrwała rękę z jego uścisku i zakryła mu usta.

— Nie mów! Nie mów więcej. Niech ta złuda zostanie, ten jedyny błysk.

— Luciu, źle mnie wtedy zrozumiałaś.

— Milcz, milcz Waldi! Powiedz: tyś mnie nigdy nie kochał? Och, nie miłością braterską, ale tą inną, tą dawną, swoją! Czy nigdy?

Starli się wzrokiem. Jej był drapieżny, jego zbolący, lecz stanowczy.

— Nie, Luciu.

— Boże mój! A ja myślałam, a ja, tak cię strasznie kochałam!

Rzuciła się znowu do niego.

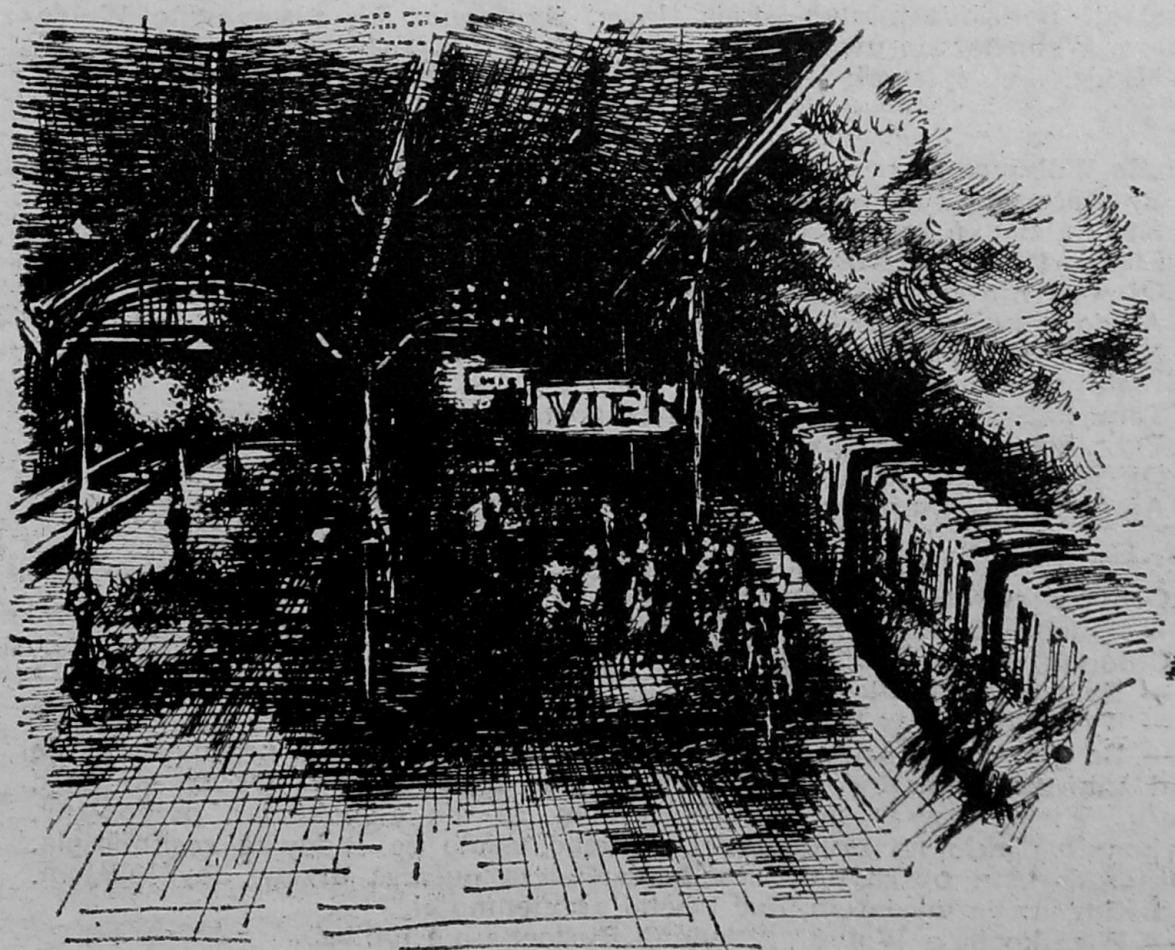
— Waldi. Były chwile... pamiętasz?

— Wiem. I przepraszam cię za nie, Luciu. Byłem nieuważny, może — bezczelny, ale nie mogę być niesumiennym. Tam to były chwile krótkiego szaleństwa, nerwów. Jestem mężczyzną, działałaś na mnie, przynajmniej. Jednak to nie miłość. (Cdn.)

Ordynat Helena Mniszek Michorowski

XLIII

B ohdan bez żalu zegnał Wiedeń. Na zaproszenie Szoetenyiego odpowiedział szczerze, że nie prędko znowu odwiedzi stolicę naddunajską. Ale gdy pociąg ruszył, Bodzio patrzył w stronę Burgu z jakąś smętną tęsknotą, której nawet nie rozumiał. Zostawił tu swoje dni zapomnienia, dni upoju i swobody. Cieszył się, że opuszcza rozpustne zabawy, bo po nich pozostał mu jedynie niesmak. Burg zaś i arcyksiężniczka byli jak gdyby symbolem nadziemskiego świata, zegnane go może na zawsze.



SERCA I KOSCI

Niedawno oglądałem, zarejestrowany (video-kasety) w nowojorskim Central Parku, koncert wspaniałego duetu, który młodszym jest znany być może tylko z płyt, starszym zaś przywodzi na myśl tylko przyjemne wspomnienia. „Simon And Garfunkel” — niezwykle popularny duet przelomu lat siedemdziesiątych, po tym właśnie spotkaniu obiecał nagrać album i reaktywować działalność zespołu. Muzycy przystąpili do pracy, ale... okazało się, że nie jest to takie łatwe. Płyta ukazała się, lecz solowa Paula Simona, a więc połowy duetu. Nosi ona tytuł „Hearts and Bounds” („Serca i kości”), a ukazała się 4 listopada br. Jest to pierwszy, solowy krążek Simona od 8 lat. Ostatnim był album „A Concert In Central Park” nagrany z Artem Garfunklelem w czasie wspomnianego przeze mnie koncertu.

W wywiadzie dla „New Musical Express” na pytanie: dlaczego nie jest to LP zespołowy, Paul Simon odpowiedział: „Ponieważ udział Arta przy nagrywaniu tego krążka był minimalny, postanowiłem skreślić jego nazwisko z listy muzyków biorących udział w realizacji utworów”. Jeszcze nie tak dawno, po o-wym wielkim koncercie zapowiadającym burzę w muzyce rozrywkowej, Simon twierdził, że marzy o ponownej współpracy i skomponowaniu czegoś tak wielkiego jak „Bridge Over Trouble Water”.

Życie okazało się jednak inne, wspólna płyta duetu w tym roku już się nie ukaże. Może następny będzie pomyślny...

Wracając do „Serc i kości”, dla jednych jest to płyta nijaka i nudna dla innych — tych, którzy znają Simona z lat wcześniejszych — będzie to zapewne kolejne spotkanie z dobrą muzyką, która owszem lekko i łatwo wpada w ucho, ale i pozostaje tam dłużej niż godzinę.

Co kilka lat prasę obiegają informacje o rozwiązaniu się najpopularniejszej na świecie, od czasu Beatlesów, szwedzkiej „Abby”. Potem następuje kolejna porcja informacji o tym, że grupa pracuje i niebawem wyda kolejny album. Co prawda dwa małżeństwa: Björn Ulvaeus — Agnetha Faltskog i Benny Anderson — Anna-Frid Lyngstad, tworzące kwartet, od dawna nie są już rodzinami, to jednak wspólnie tworzą muzykę. Określiłbym — najwspanialszą, komercyjną muzykę świata.

ABBA

Zaczął się w 1972 roku, gdy gitarzysta Björn i pianista Benny postanowili założyć własny zespół. Pierwsze nagrania nie zyskały jednak szerszego zainteresowania publiczności. Każdy z nich miał już wcześniejsze przygody z muzyką, ale bez większego powodzenia. Anderson prowadził w Sztokholmie zespół „The Hep-Cats”, a Björn był liderem dość znanej i popularnej grupy „Hootenanny Singers”. Sami jednak nie mogli zbyt wiele zdziałać. W takich przypadkach najbardziej pomocne okazuje się... szczęście. Panowie zaprosili do współpracy swoje żony i dalej wszystko potoczyło się jak w kalejdoskopie.

Rok 1974 to wielki sukces na Festiwalu Eurowizji i w Brighton w Anglii, gdzie piosenką „Waterloo” zdobyli sympatię międzynarodowego jury i wielomilionowej publiczności. 18 miesięcy później przebój „S.O.S.” był tylko formalną odskocznią od światowego sukcesu. Ich piosenki: „Mamma Mia”, „Fernando”, „Dancing Queen”, „Knowing Me, Knowing You” osiągały najwyższe miejsca na amerykańskich, brytyjskich, francuskich i niemieckich listach. Każdy rok przynosił nowy album, który natychmiast stawał się sen-

świecie, w tym również w Polsce, sprzedała 150 milionów płyt i zdobyła ponad 200 „złotych płyt”, przynosząc swojej ojczyźnie większy dochód niż znane szwedzkie koncerty samochodowe: „Volvo” i „Saab”.

Sytuacja rodzinna, czyli rozwody, nie zmieniła niczego. Co prawda ex-żony próbują nagrywać swoje oddzielne płyty i robią to z dobrym skutkiem, jednak zawsze wracają do wspólnego, własnego studia kończyć kolejną płytę zespołu. Panowie komponują i czuwają nad interesami.



sacją na rynku fonograficznym. Niezwykle starannie, wręcz z zegarmistrzowską dokładnością, nagrywają swoje piosenki. Nie może być mowy o ledwo słyszalnym fałszu, czy nie takim, jak zakładali, brzmieniu gitary. Również koncerty na żywo to niezwykle widowisko, popis maostrii muzycznej i wykonawczej. Nie grają jednak na estradzie sami. Np. w czasie australijskiego tournée zespołowi towarzyszyła kilkunastoosobowa orkiestra, świata techników i zastępy refrenistek.

W ciągu minionych 12 lat „Abba” koncertowała niemal na całym

Właśnie kończą realizację albumu, który ma się ponoć ukazać wiosną przyszłego roku.

Tym, co łączy zespół, są przede wszystkim pieniądze, bo „Abba” to nie tylko muzyka, płyty i koncerty, ale prawdziwa potęga finansowa. Zarobione wcześniej miliony dolarów operatywny menager — Stig Anderson — ulokował w różnych dochodowych przedsiębiorstwach. Pod firmą „Abba” sprzedaje się dziś: benzynę, rajstopy, koszule meble, książki i sprzęt radio-telewizyjny.

Reprod. Leszek Czura

fon-club

REDAKUJE
KRZYSZTOF KURIANUK

Ordynat, widząc dziwny stan młodzieniaszka, nie pytał o nic. Lecz Bohdan o arcyksiężniczkę zamilkł. Wstydził się swych zapalów. Nie skarżył się przed Waldemarem na los; jedynie mówił ze smutkiem, przez który przebiegała ironia, skierowana do samego siebie. Ordynat jednakże odgadł, że uczucia chłopca były dotknięte, z paru zaś słów jego przeczuł bohaterkę. Może dostrzegł fotografię Marii Beatryczy w portfelu kuzyna? Waldemar nie czuł obawy; wydało mu się to dzieciństwem, a zarazem niegroźnym obudzeniem się marzeń idealnych, poczętych niby w ślicznej woni konwalii wiosennej. Wolał dla Bodzia to, niż Annę nicejską lub primabalerynę warszawską.

Wśród jednej z takich rozmów Bodzio spytał: — Dlaczego ty, wuju, tak mało teraz bywasz w świecie? Na przykład w Burgu wiele osób o ciebie pytało, nawet cesarz.

— Cóż im odpowiedziałeś? — Rozmaicie. Jak komu. Cesarzowi powiedziałem, że pracujesz w kraju, Szoeteniemu szepnąłem w sekrecie, że zubożałeś wuju, bo on ma zamiary na twoją kieszeń, chce pożyczyc grubą sumę. Spojrzał tylko na mnie powątpiewająco. Paniom zaś mówiłem, żeś stetryczał, i wyobraź sobie wuju: nie chciały wierzyć!

— Wcale dobrą wyrabiałeś mi opinię — uśmiechnął się Waldemar. Gdy mijali cudowne okolice Stryi, Bohdan przylepiony do szyby wagonu, marzył cicho. Ordynat usłyszał raz jego śpiew. W tęsknej, rozwlekłej melodii Bodzio zamknął jakieś słowa. Brzmienie ich zastanowiło Waldemara. Wstuchwał się uważnie.

Młodzieniec śpiewał:

„Za Wołyniem skuczają i w dzień i noczy.
Bo wołyńska ziemia każdego nauroczy.
Kto na Wołyni pryde, toho oczaruje;
Lisami i ćwitami swoimi zwojuje.
Oj, Wołyniu ridnieńskij, tebe ne zabudu,
Aż do samoi smerti wspomynaty budu.
Na Wołyni, hde ne hlanesz, tam ziemia czorna,
Złotoju pszenyciu ciła usianaja.
Tam: koły wesne nastne, to wże taka krasna,
Taka harna, zelenaja, myleńka i jasna!
Oj, Wołyniu, Wołyniu, tebe ne zabudu
Aż do samoi smerti wspomynaty budu.”

Ordynat zwrócił się z zapytaniem:

— Bodziu, co to za śpiew? Nie znam go.

Chłopak się zaczerwienił.

— Sam go sobie ułożyłem, wuju.

— Ty?! No, i tu w Stryi tak czule wspominasz Wołyni.

— Bo ja te tu kraje znam i podziwiam, lecz teraz przeniosłem się nad taki boski parów w Rusłocku, gdzie marzyłem. Zebys ty go znał, wuju! Wiesz, zawsze sobie wyobrażałem, że ten głęboki jar, przepastny, wykopało piekło na zgubę ludzi, a niebo usiało go cudowną roślinnością, ubrało skałami pysznymi, ocieniło dziewczęca puszczą drzew, aby ludziom, ot takim jak ja wariatom, dać trochę przyjemności.

— Więc kochasz Wołyni? A jednak Rusłocka nie lubiłeś.

— Nawet nie cierpiałem. Ale samej rezydencji i Ponieckich. Kraj kocham i lud kocham. Wszystko to harmonijnie dostraja się do mej natury; to tak, jakby kto buńczuk omotał w pajęczynę melancholii. Cudny kraj!

Ordynat spoglądał na kuzyna na tle szyby i myślał nie bez wzruszenia:

— To porównanie, jakie zrobił do Wołynia, stosuje się do niego. Buńczuk, owiany melancholią i poezją, i zapalem, lecz złamany! Jednak takiego warto ratować; To jeden z tych Michorowskich, którzy nie umieją słuchać, ale potrafią przewodzić.

Ordynat czuł, że w sercu wzbiera mu uczucie dla Bodzia — niemal ojcowskie.

Sam nad sobą zamyślił się poważnie, gdy byli już blisko Szwajcarii.

I oto na granicy pierwszego kantonu Waldemar zmienił nagle swój projekt.

— Wracamy do Głębowicz — rzekł do Bohdana.

— Jak to wuju?! Myślałem, że teraz wahać się już nie będziesz co do Luci i że po to jedziesz.

— Ona jest narzeczoną Brochwicza.

— Ach! — skrzywił się Bodzio. — Wuj w to wierzy? Sam fakt niczego nie dowodzi. Ona Jerzego nie kocha.

Waldemar się wstrząsnął.

— Tym bardziej jestem tam zbyteczny.

Bohdan wpadł w ponure zamyślenie. Nie rozmawiał więcej z ordynatem o Luci. Przeczuwał zbliżający się ostateczny przełom, ale niepojęty stan ordynata tłumaczył uporem.

Bodzio w Głębowiczach przyznał się Waldemarowi, że porobił starania o posadę administratora.

— Czy czujesz się na siłach? — spytał ordynat.

— Najzupełnie. Zacznę od małego zakresu, ale tam, gdzie będą perspektywy.

Waldemar zaproponował mu stanowisko także w Biało-Czerkasach. Bohdan zamiast się ucieszyć, był zmieszany.

— Ufasz mi, wuju? — bąknął niewyraźnie.

— Tak.

Młodzieniec milczał.

— Nie jesteś, widzę, zadowolony — rzekł starszy Michorowski. — Zostawiam ci za tym swobodę.

Bodzio z nagłą szczerością wyznał swą myśl.

— Nie, wuju, to nie to. Jestem ci bardzo zobowiązany za zaufanie, ale ja w Biało-Czerkasach byłbym zawsze na sznureczku. Owszem, wpływ uznaje do pewnego stopnia, lecz wędziła nawet z twej ręki nie ścierpie.

— A jak będzie u obcych?

— U obcych działalność swą tak bym unormował, że wszelkie pęta dla mnie byłyby zbyteczne.

Waldemar zaśmiał się wesoło.

— Dobrze. Podobasz mi się! Wiedz o tym, że żaden Michorowski nigdy wędziła nie znosił i nigdy go nikomu nie nakładał. Despotyzmem brzydzę się; miałeś chyba czas to poznać. Będziesz w Biało-Czerkasach administratorem z całkowitą plenipotecją. Posadę obejmiesz na wiosnę. Przez zime będziesz się jeszcze kształcił. Zgoda?

— A, jeżeli tak...

Uścisnęli się jak bracia.

Księżna Podhorecka powróciła ze Szwajcarii. W listopadzie cała rodzina zgromadziła się w Głębowiczach, gdzie od pewnego czasu zamieszkiwał i pan Maciej z niedostępnym panem Ksawerym. Brakło tylko baronowej

walka pozorowana

Wielu gatunków zwierząt istnieje kod grózb. seria umownych oznak gniewu. Grają one specjalnie ważną rolę u tych czworonogów, które są silnie uzbrojone i mogłyby zabić przeciwnika. Gdyby wilki, na przykład, używały w sporach klów bez opamiętania, ich gatunek mógłby łatwo wyginać. W rzeczywistości porzeczają na mimice wyrażającej dzięki gniew i hałasowaniu Skrzęty, zmruczenie oczu, pozycja uszu, szczyrzenie zębów — są to sygnały, po których każdy atakujący wróg może odczytać stan psychiczny swego przeciwnika.

Zwyciężony wilk podstawia rywalowi najłatwiej ulegającą niebezpiecznemu zranieniu część swego ciała — gardło. Ale zwycięzca nigdy nie korzysta z tego aktu uległości i przerywa walkę. Inne gatunki stosują również postawę poddania, choć wyrażają ją w różny sposób. Na przykład kawki pokazują szarą plamkę na tylnej części głowy.



MAKROBIOLOGIA (8)

ZBOŻA

Ziarna są owocami zbóż, które podczas długiego okresu wegetacji gromadzą siły ziemi i energię kosmiczną. Powinny być spożywane z otrębami, a pochodzą z upraw nawożonych nawozem naturalnym. Nie mogą być przechowywane ze środkami konserwującymi. Podobnie jak zapłodnione jajo — pełne ziarno zawiera wszystko, co potrzebne do reprodukcji komórek.

Zyto (kiedyś miało złą sławę z powodu zatrucia sporyszem) jest zalecane przy nadciśnieniu, arteriosklerozie oraz zapobieganiu i leczeniu chorób wieńcowych. W krajach, w których spożywa się chleb żytni, nie ma takich chorób; żyto zwiększa elastyczność naczyń krwionośnych i płynność krwi, zapobiegając skrzepom.

Makę żytnią najlepiej mieszać z mąką pszenną i jęczmienną, dodawać do sosów, zasmażek, zup, używać do makaronów, klusek, domowego chleba, placków i racuchów.

Placki: makę wymieszać z olejem tak, aby składniki się połączyły i utworzyły elastyczną masę. Dodać soli i tyle wody, aby ciasto nadawało się do rozwałkowania. Z rozwałkowanego ciasta wycinać krążki szklanką i piec na wysmarowanej olejem blasze aż do zrumienienia. Jeść z miodem.

Najprostsza obróbka jęczmienia daje pęczak. Zawiera on te same sole mineralne, co pszenica, chociaż w innych proporcjach. Jest łatwo przyswajalny ze względu na witaminy B1, B2, B3. Zawiera dużo wapnia, potasu i fosforu, które są potrzebne do odbudowy komórek nerwowych, a także w okresie wzrostu organizmu.

Jęczmień można wyprażyć na suchu na patelni i zmielić grubo na doskonałą kaszę. Placki są smacznym dodatkiem do surówki porannej. Skielkowany jęczmień zawiera sód; z jego kielków i drożdży przygotowujemy piwo na letnie upały.

Owies jest pokarmem energetycznym. Pobudza działanie tarczycy, zwiększa odporność na choroby. Zalecany przy dużym wydatku energii oraz dla cukrzyków — działa hipoglikemicznie. Placki owsiane jada się z mlekiem na surowo.

chińszczyzna

Pismo chińskie nie jest pismem fonetycznym, lecz ideograficznym, tzn. że na podstawie formy i kształtu znaków nie można powiedzieć o ich wymowie, lecz poznać jedynie znaczenie. Spora, na przykład, ilość znaków chińskich została zapożyczona do pisma japońskiego. Dzięki temu Japończyk —

wymawiając je w swoim języku — potrafi zrozumieć ogólny sens tekstu chińskiego, mimo że nie może go przeczytać w oryginalnym brzmieniu. Chińczyk także może zrozumieć sens tekstu japońskiego, chociaż nie wie, jak te znaki po japońsku odczytać.

Ta sama zasada dotyczy licznych,

bardzo zróżnicowanych dialektów chińskich, używanych na terytorium ChRL. Pismo dla nich jest elementem unifikującym, to znaczy, że wymowa poszczególnych znaków w różnych dialektach jest odmieniana, natomiast znaczenie pozostaje w zasadzie to samo. Często zdarzało się tak, że Chińczyk z północy, nie mogąc się porozumieć z Chińczykiem z południa, pisał mu bodaj palcem w powietrzu znaki i w ten sposób (niejako graficznie) przekazywał znaczenie swoich słów.

TANIE DANIE

kotlety z pęczaku

30 dkg pęczaku opłukać, zalać gorącą wodą (musi być 3 razy tyle, co objętości kaszy), gotować około godziny na małym ogniu lub płytce azbestowej ciągle mieszając. Gdy będzie miękki, ostudzić, przepuścić przez maszynkę, najlepiej przez gęstą siatkę. Obrząć 5 dkg cebuli, pokroić w drobną kostkę i zrumienić na tłuszczu (3 dkg) na jasnozłoty kolor. Zmielony pęczak utrzeć starannie z cebulą i 2 jajami, dodać 2 łyżki siekanego koperku i zmieloną pietruszkę, sól, pieprz. Można dodać kostkę przyprawy do zup, rozpuszczoną

w 1 łyżce wody. Kształtować nieduże kotleciki, otaczać w "artej" bulce, smażyć na rozgrzanym tłuszczu na złoty kolor. Podawać z surówkami z warzyw lub sosem grzybowym, pomidorowym, koperkowym. Do masy pęczakowej można dodać mieloną włoszczyznę, pozostałą z gotowania wywaru, lub mięso pieczone, gotowane czy z konserwy.



DLA ROŚLIN
WODA

Najczęstsze niepowodzenia w hodowli roślin doniczkowych są spowodowane dostarczaniem im nieodpowiedniej wody. Powinna ona być koniecznie odchlorowana przez nalanie jej do konewki i odczekanie 24 godzin.

Pierwszym warunkiem zdrowia roślin jest prawidłowe podlewanie: zwiększenie ilości wody wiosną i latem, a zmniejszenie — zimą. Drugi warunek spełni pamięć o zasadzie, że rośliny o dużych, gładkich liściach potrzebują więcej wilgoci.

Jak sprawdzić, czy dostarczenie wody roślinie jest w danej chwili konieczne?

● Jeśli na głębokości 1-2 cm pod powierzchnią ziemia jest wilgotna (choć na wierzchu jest sucha), wówczas natychmiastowe podlewanie nie jest konieczne.

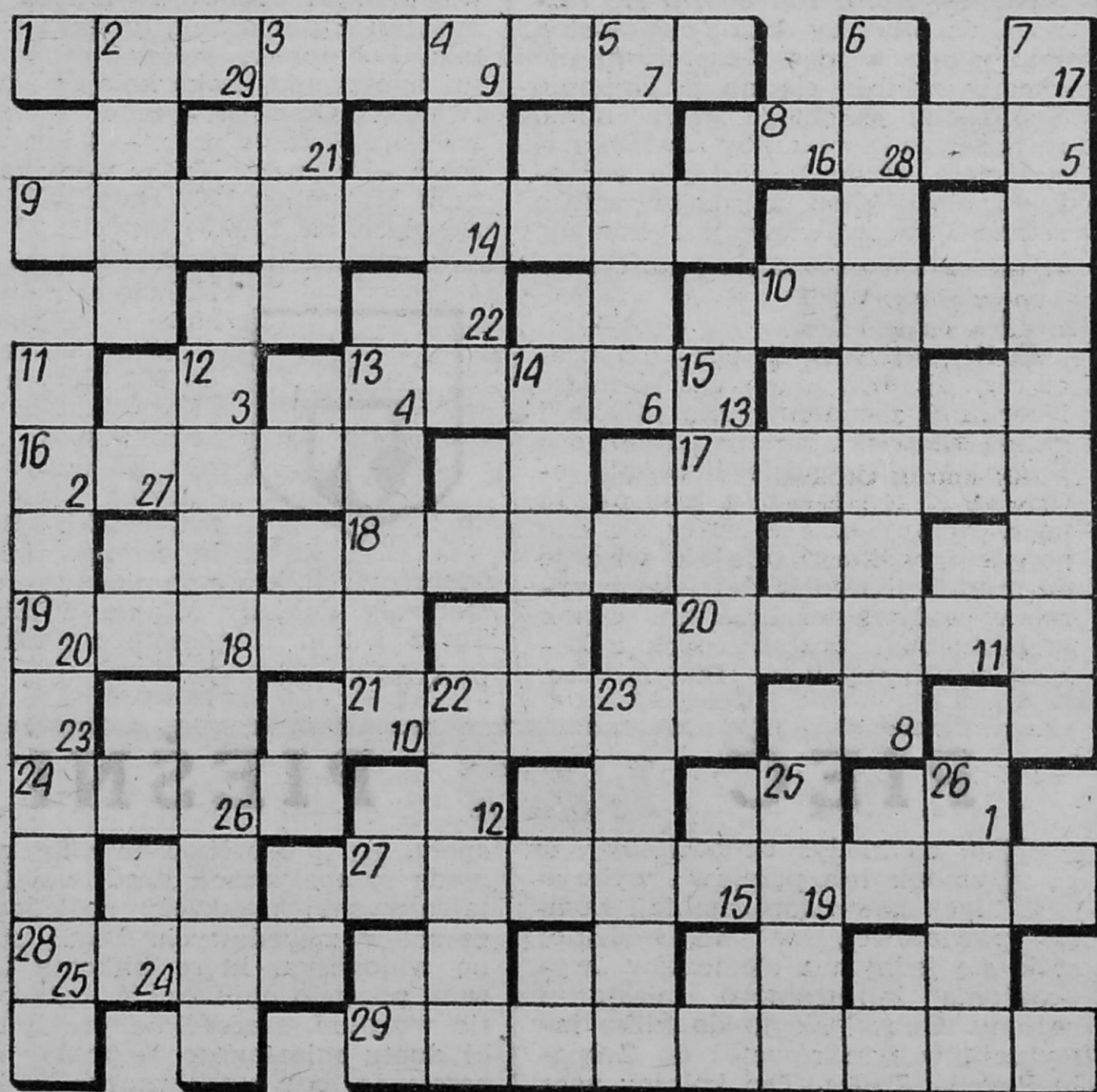
● Jeśli dźwięk wydawany przez pojemnik podczas stukania jest głuchy i

przytłumiony, ziemia jest wilgotna; dźwięk wyraźny, dźwięczny, wykazuje, że jest sucha.

Gdy ziemia w pojemniku pozostaje przez parę dni bardzo wilgotna, znaczy to, że jest zbyt mały drenaż lub też nieodpowiednia mieszanka. Trzeba wówczas na dno doniczki dosypać skorupki ceramiczne albo dodać do ziemi trochę piasku, aby zmniejszyć jej spójność.

Jeśli ziemia po podlaniu zbyt szybko wysycha, jest to dowód, że roślina znajduje się w zbyt małym pojemniku i należy ją przesadzić.

Nie wszystkim roślinom dostarcza się tę samą ilość wody. Gatunki pokryte drobnymi włoskami lub grubą skórą z woskowym nalotem podlewa się mniej, bowiem woda paruje z nich wolniej. Przy obfitym podlewaniu można spowodować gnicie korzeni.



Po rozwiązaniu krzyżówki litery z krótką ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione od 1 do 29, utworzą przysłowie abisyńskie.

POZIOMO: 1) okręt wojenny, 5) część uprząży, 9) wyjaśnienie, tłumaczenie, interpretacja, 10) przełożony juhasów, 13) lipcowa solenizantka, 16) biesiada, 17) jezioro we wsch. Afryce, 18) ozdobne, okrągłe pismo o pogrubionych liniach, 19) papierosowa gliza, 20) starzec, 21) pokarm dla zwierząt, 24) kolor jasnofioletowy, 27) wręta, 28) Tomasz, Zbigniew, Eliza, 29) „krzyżówkowa” 1000 dwukadłubowa.

PIONOWO: 2) wieczne miasto, 3) produkuje ją wątroba, 4) zimnowodny drapieżnik z rodziny łasicowatych, 5) miasto starożytne na pn.-zach. wybrzeżu Azji Mniejszej, utożsamiane z Troją, 6) może być matematyczne, 7) taniec rozpowszechniony w Hiszpanii w XVI wieku, powolny, w metrum trójdzielnym, 11) odłudek, samotnik, 12) miejsce przeznaczone do czytania czasopism, książek, 13) bicz używany głównie na psy, 14) szlam naniesiony przez wodę, 15) jedna z elektrod, 22) słynny warszawski lokal nocny, 23) koń w paski, 25) jaja ryby, 26) cierpienie.

Wśród Czytelników, którzy nadesłali w terminie 10-dniowym pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

13

KONTAKTY
11 XII 83

Stragam pod trzynastką



wieści grodzkie



● Miejskowy oddział PKS-u obsługuje 59 linii, a autobusy wykonują 498 kursów. Tylko 4 z nich wykraczają poza teren województwa — 3 do Warszawy i 1 do Olsztyna. Nie należy spodziewać się większych zmian w nowym rozkładzie jazdy, który będzie obowiązywał od czerwca przyszłego roku. Więcej autobusów połączy Perlejewo, Zaręby Kościelne i Andrzejewo z lokalnymi centrami handlowo-administracyjnymi. Połączenie z Warszawą uzyska Wysokie Mazowieckie. Aby zaspokoić najpilniejsze potrzeby oddział powinien otrzymać dodatkowo 30 autobusów. Najbar-

ZAMBROW

dzień szwankują połączenia w godzinach szczytu. Ciągłe zastrzeżenia budzi synchronizacja połączeń PKP i PKS w Czyżewie i Szepietowie. Kierowcy czekają tam nawet i do 15 minut na przyjazd pociągu, ale spóźnienia bywają większe, a autobusy wykorzystywane są do obsługi nie tylko tej trasy.

Utrzymaniu sprawności pojazdów nie sprzyja również prymitywny warsztat jakim dysponuje zambrowski oddział. Niektóre autobusy wręcz nie mieszczą się na stanowiskach naprawczych. Planowana jest budowa nowej zajezdni przy ul. Mazowieckiej. Dotychczas jednak nie ustalono, kto będzie wykonawcą.

KOLNO

● Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska notuje spadek skupu mleka. Dziennie sięga on 110 tysięcy litrów, podczas kiedy w sezonie wynosił 255 000. Łącznie z mlekiem z innych zakładów mleczarskich kolnienka spółdzielnia przerabia codziennie około 170 tysięcy litrów. Aby zaopatrzyć 7 gmin w masło, latem wystarczą przetrzeby jednodniowe, obecnie (przydziały kartkowe) produkuje się 4 dni. Pozostałe masło dostarczane jest do chłodni w Białymstoku. Według kalkulacji przeprowadzonej w zakładzie wartość mleka, zużytego do produkcji jednej kostki, wynosi 105 złotych. Tak więc proponowana po podwyższeniu



masła pokryje tylko koszt surowca. W dalszym ciągu będą dotowane: transport, produkcja i sprzedaż. Zakład produkuje również tańsze, z mniejszą ilością tłuszczu, masło serwatkowe, które może być sprzedawane poza reglamentacją. Miesięcznie wytwarza się go 3 tonny. Wojewódzki Związek Spółdzielni Mleczarskich nie podjął jednak dotychczas decyzji, na jakich zasadach sprzedawać to masło. Może więc skorzystać na tym inni. Chętnie zakupią je np. handlowcy w Ty-chach.



● Istniejąca od ubiegłego roku Szuczynska Spółdzielnia Mieszkaniowa zdołała zapewnić już mieszkaniom prawie 100 rodzinom (część lokatorów mieszka w blokach zbudowanych jeszcze przez spółdzielnię grajewską). Liczy sobie 106 członków i 153 kandydatów. Trwa właśnie zawieranie umów z członkami, ale bez konkretnego terminu przydziału mieszkań. Spółdzielnia boryka się z wieloma problemami. Np. o rok opóźni się rozpoczęcie budowy kolejnego bloku. Poprzednie władze Kuratorium nie chciały zgodzić się na przekazanie Spółdzielni szkolnego placu, mimo że mieszkania zyskaliby również nauczyciele. Budowa zostanie rozpoczęta, ale dopiero wiosną przyszłego roku. Opracowywany jest kolejny,

SZCZUCZYN

trzeci wariant zagospodarowania osiedla, to również nie sprzyja przyspieszeniu poczyni. Rozbudowa na jest kotłownia — przybędą trzy kotły — ale ciepła wystarczą na ogrzanie najwyżej jeszcze trzech bloków. Konieczna jest budowa ciepłowni miejskiej. Zmienione przepisy, dotyczące ochrony środowiska, zabraniają umieszczania zbiorników nieczystości w odległości mniejszej niż 50 metrów od bloków mieszkalnych. Konieczna jest stąd budowa oczyszczalni ścieków. Spółdzielcy mają nadzieję, że znajdzie się ona w planach rozwoju miasta w związku z planowaną budową szpitala. Lokatorów, którzy otrzymali już mieszkania, czeka kolejne zmniejszenie. Od pierwszego stycznia wzrosną o ok. 30 proc. — i tak wysoki — czynsze. Np. za mieszkanie typu M-3 miast 1978 złotych będzie się płać ok. 2500.



Najwięcej nabywców znajdują wędliny w cenie do 500 złotych za kilogram. Nie w pełni zaspokojony jest też popyt na sałceson włoski, bruszwicki. Brakuje np. głów wieprzowych, które do niedawna dostarczały Zakłady Mięsne w Elku. Teraz i tam rozpoczęto produkcję podrobów.

STAWISKI

● Na najwyższych obrotach pracuje miejscowa masarnia. W miasto i wędliny zaopatruje ona miasto i gminę Stawiski, gminy Grabowo i Kolno. W listopadzie masarnia otrzymała 14 ton mięsa, z tego ok. 75 proc. wołowego. Nie cieszy się ono popytem, wykorzystuje się więc je do produkcji wędlin. Na jakość wyrobów wpływa też brak np. szynki w półtuszkach, dostarczanych z Zakładów Mięsnych w Białymstoku.

PIĘĆ LAT PIEŚNI I TAŃCA

To, co kiedyś uchodziło za zbytek lub przejaw wybujałych nadmiarów, w wojewódzkiej stało się jednym z elementów „wyposażenia” kulturalnego miasta i regionu. Odnosi się to do kilku instytucji, w tym również do Zespołu Pieśni i Tańca. Ten kolejny nasz „młody jubilat” — pięć lat to jeszcze nie epoka, ale dowód żywego istnienia — wystąpił z okolicznościowym koncertem na scenie macierzystego Wojewódzkiego Domu Kultury.

Blisko dwugodzinne przedstawienie, wypełnione tańcem, ludową muzyką i śpiewem, wykonywane było tak, że chwilami zapomniało się o amatorstwie wykonawców; przede wszystkim w „Suicie Kurpiowskiej” oraz kilku tańcach łowickich. Pewne skrepowanie profesjonalnymi zadaniami zdradzały wykonawcy w suicie „Księstwo Warszawskie” oraz krakowiaku, co, oczywiście, nie jest zarzutem, a tylko uwagą dla kierownictwa ze-

społu, aby nie próbowało z tą gromadą sympatycznej, urodziwej i utalentowanej młodzieży naśladować zespołów zawodowych. Błądą stroną widowiska, które kilkoma tańcami porwało publiczność, były partie wokalne, szczególnie przyspieszki duetu mieszanego — mało dynamiczne, bez oczekiwanego w kilku mniejszych ognia, oraz „chór dziewczę” śmęczących wojskowe piosenki w suicie „Księstwo Warszawskie”.

Tyle kręcenia nosem, aby jubilat nie zakreślił się w głowach; nie tylko od tańców, ale i zachwytów oraz splendorów, które spływały obficie na zespół z okazji jubileuszu. Każdy z obecnych i kilkunastu byłych członków otrzymało gratulacje od dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, cały zaś zespół odznaczony został „Za Zasługi dla Województwa Łomżyńskiego” oraz uhonorowany listami gratulacyjnymi władz politycznych i wojewody. Twórcy i kierownicy zespołu — Jan Sław



sposób bycia

Choć w metrykach niektórych pań widnieje trzydzieści czy sześćdziesiąt wiosen, razem mają ich zaledwie piętnaście. Tyle lat bowiem liczy sobie kobiety Zespołu Pieśni i Tańca z Nowogrodu. Przy okazji jubileuszu wszyscy wracają myślą do tradycyjnego „jak się to wszystko zaczęło”. Ze wspomnień wynika, że zaczęło się normalnie, nawet banalnie: na jakimś zebraniu Koła Gospodyń Wiejskich jego ówczesna przewodnicząca, Czesława Matejkowska, zaproponowała założenie zespołu. Pomysł „chwycił”.

Wystarczy jednak nieco dłużej porozmawiać ze śpiewaczkami, by zrozumieć, że początek był zupełnie inny, a wszystko zaczęło się już w kotłynie, od babcińskich i matczyńskich kotłuszek, smutnych ballad i, nieco sprostych, przyspiewek; od rzekomych piosenek i zwykłych piosenek.

— Gdy byłam małą dziewczynką — wspomina Kazimiera Wyszyńska — chodziłam podłuchiwać, jak śpiewał zespół pana Chętnika. Przysłuchiwałam się tak długo, aż nauczyłam się słów i melodii. Potem, pasąc gęsi, śpiewałam te piosenki i marzyłam, że kiedy dorosnę, też będę w takim zespole.

„Teoretyczną podbudowę” posiada jedynie Teresa Pardo, kierowniczka artystyczna Zespołu, instruktorka Miejsko-Gminnego Domu Kultury w Nowogrodzie. Członkinie głównie jej przypisują swoje sukcesy; z początku bowiem występowały głównie dlatego, by ludzi i siebie rozweselić. Dopiero dzięki Teresie Pardo zrozumiały, że równocześnie chronią głąb powoła folklor. — Bo — jak to we wzruszający sposób powiedział poza oficjalnym programem jubileuszu Stanisław Ceberek, „leśny Kurp” z wykrót — przez całe stulecie niewoli polska mowa, gwary były niepodważalnym świadectwem polskości naszych ziem, a

barwy regionalnych strojów narodowym szanaarom.

— Gdyśmy byli w Starogardzie — wspomina Anna Ceberek — ludzie witali nas z kwiatami i nie chcieli odejść od autobusu, tak im się widziały nasze kitle, gorsety, kajtany. Kurpiowski folklor cechują pieśni leśne, głośnie, „gardlane”, i takie Zespół śpiewa najchętniej. Ale równie gorącymi brawami publiczność nagradza skoczne śpiewki i opowiadania, w których celuje Aleksandra Kulczyk. Nic dziwnego, bo ileż w tych ludowych przypowieściach dowcipu i życiowej mądrości!

Zespół (Teresa Pardo, Aleksandra Kulczyk, Kazimiera Wyszyńska, Anna Chaberek, Joanna Szeżman, Stanisława Królik, Władysława Lutrzykowska, Maria Zwierciadłowska i Stanisława Zebrowska) może się poszczycić pierwszymi lokatami na przeglądach i festiwalach zespołów ludowych, m.in. w Kazimierzu i w Nowym Targu. Często występuje też na imprezach ludowych, głównie — dożynkach. Wtedy towarzyszy mu kapela ludowa ze Skansenu, założona jeszcze przez samego Chętnika (Sęk w tym, że nikt dokładnie nie zna daty jej powstania i kapela jest pozabawiona przyjemności świętowania kolejnych jubileuszy).

Zazdrości gminne szepczą, że w Zespole spotkały się te baby, o które mężowie nie dbają. — Może czasem któraś z nas po cichu żałuje, że tak nie jest — wyznaje pani Kazimiera — bo ile nieraz trzeba zachodu, by nas puścili, szczególnie na kilkudniowe wyjazdy!

Najbardziej wzrusza nas to, że śpiewanie jest dla tych kobiet naturalną częścią ich codzienności, sposobem bycia. Za to wnosimy w dniu ich wspólnego jubileuszu kufel koziczego piwa: zdrowia i w siłę bzie!

DANUTA WRONISZEWSKA
Fot. STANISŁAW HOROSZ



Rekosz (pisujący na naszych łamach swoje „Wędrowki folklorystyczne”)

i Kazimierz Pawczyński — odebrali listy gratulacyjne, telegramy, kwiaty i (od członków zespołu) jakiegoś bliżej nie zidentyfikowanego wianitka, które ich wyraźnie zainteresowały i wzruszyły. Były brawa — owacje i tradycyjne „Sto lat”. Tym razem nie zapomniano o tych, którzy przyłożyli życzliwej ręki do powstania i funkcjonowania zespołu.

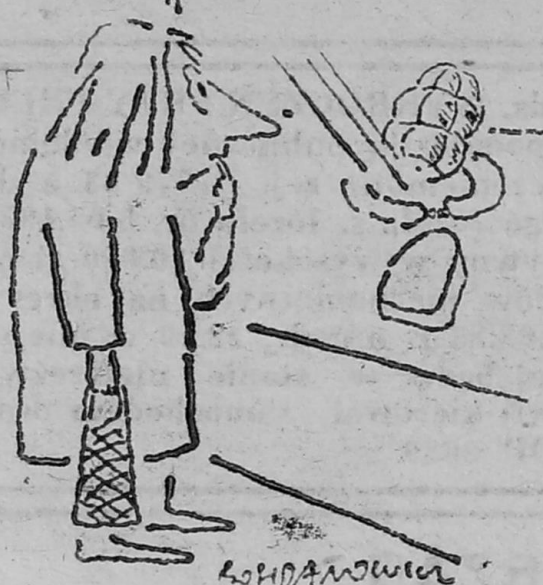
Najważniejsze, że zespół nie tylko działa, ale robi to na coraz lepszym poziomie, w coraz piękniejszych, bogatszych strojach; że jest zarówno efektywną wizytówką miasta i województwa, jak i ośrodkiem kulturalnego oddziaływania na — wcale nie taki wąski — krąg młodzieży. Przez pięć lat przewinęło się przez ten kilkadziesiąt dziewcząt i chłopców, którym czas spędzony w wspólnocie zespołu pozostanie nie tylko jako wspomnienie, ale także wskazówka, czym można wypełniać swoje życie, gdzie szukać okazji do realizacji marzeń.

I to jest — kto wie, czy nie największy — dorobek zespołu.

ANDRZEJ JASION
Fot. GABOR LÖRINCZ

warunki
prenumeraty

CACKO WIDZIEĆ —
NIEWINNOŚĆ
MYŚLI!



Rys. Juliana Bohdanowicza

wkrótce

Już w świątecznym numerze rozpoczniemy druk chińskiej „Księgi Zmian” (I CHING). Kto chce wiedzieć, jak przebiegać będzie jego najbliższa przyszłość — znajdzie odpowiedź.

I Ching nie zapowiada losów, zdarzeń. I Ching prognozuje przebieg nadchodzących przygod, rozstrzyga jakie przedsięwzięcia warto podjąć, a które zaniechać.

Tylko dla cierpliwych! Bowiem drukować będziemy w odcinkach.

Nie przegapcie świątecznego numeru „Kontaktów” — znajdziecie pierwsze szczegóły, w tym instrukcję posługiwania się.

Jeszcze tylko tydzień i niecierpliwa ciekawość zostanie zaspokojona — można będzie przystąpić do wróżb. Tym razem — przypominamy, że w stałym układzie — przedstawiamy znaczenie już trzeciego koloru. W przyszłym tygodniu czwarty i ostatni.

K karo — człowiek pomocny, bez żadnej pozycji, dzielny, szczery, dobry organizator; omen, prorocstwo;

prawa — usługa dla osoby gorzej od siebie;

lewa — usługa w zamian za coś, co ją przewyższa.

D karo — kobieta zła, intrygantka, która lubi siać niezgodę i niepokój wokół siebie; wydarzenie, które wywoła plotki w gronie dam itd.

prawa — szczęśliwa kobieta, która uzyskuje wyróżnienie, ale wzbudza zazdrość innych;

lewa — zagrożenie życia, zemsta itp.

W karo — młody człowiek, bardzo szczery, który niesie ważne nowiny; ważne i pozytywne odkrycie w danej sprawie;

prawa — siła wyższa!

lewa — odwaga! Pomocy nie zabraknie! Protekcja bardzo silna.

10 karo — perfidne rady; młody człowiek słuchał rad z radością i bez uprzedzenia; projekt podróży.

prawa — przygotowanie do podróży;

lewa — medytacje nad projektem podróży; w ogóle medytacja; wysłuchane prorocтва; wizyta u astrologa.

9 karo — niepokój, przygotowanie do podróży; podróż;

prawa — przeszkody na drodze;

lewa — szczęśliwa podróż!

8 karo — zabiegi dobrej, usługowej osoby, żeby załatwić dobrą posadę;

WRÓŻYMY Z KART

pewna pozycja, stanowisko zapewnione;

prawa — zła reputacja, brak stanowczości np. trudności w studiach;

lewa — praca z dziećmi opieka nad sierotami, przysposobienie dziecka itd.; dla sieroty czy osoby zagubionej znalezienie opieki.

7 karo — kłopoty duże i różnorodne z własnej winy, z głupoty i nierozwagi;

klucz do kabały

(3)

prawa — rozpacz; zły stan spraw materialnych;

lewa — nędza, konieczność żebrania o pomoc.

6 karo — perwersyjny człowiek, który się wysila, aby oszukać i zrealizować perfidny zamysł; zdemaskowanie kryminalisty; pasażer; niebezpieczna czyjaś wizyta;

prawa — wizyta, nawiedzenie duchów;

lewa — brak harmonii w związku lub pora niebezpieczna; złodziej, a może plotkarze itp.

strożna w ocenie intencji znajomych i przyjaciół przeciwniej płci — oto przestroga, jaką odczytujemy ze snu o spotkaniu Pani chłopca z inną panią. Zbyt wiele zaufania w sytuacji, gdy się tak rzadko widujemy, nie ma chyba uzasadnienia. Jazda autobusem wskazuje, że najgorsze kłopoty ma już Pani za sobą. Rozmowa z lekarzem natomiast wskazuje, na jakieś dawno pogrzebane życzenia, które nagłe zostaną spełnione ku Pani zaskoczeniu. Zielona trawa — szczęście w miłości i powodzenie finansowe. Błoto, które pokazało się tam i ówdzie — kłopoty z najbliższym otoczeniem. Czy mieliśmy tym razem szczęście, tłumacząc Pani sen? Prosimy napisać.

5 karo — złośliwy upór i duma; brak panowania nad sobą, niesłuchanie dobrych rad o potrzebie ostrożności; narażenie się na wielkie zło;

prawa — babskie kłótnie; utrata pracy przez gniew szefa itd.;

lewa — przesłuchanie przez policję; człowiek, który jest na to narażony.

4 karo — przez miłość do bogactwa i sławy: silna protekcja;

prawa — posiadanie pewnego środka służącego do zwalczania niebezpieczeństw i przeciwności;

lewa — ochłodzenie zapału czy furii; zwalczanie czyjejś furii czy zagrożenia z czyjejś strony.

3 karo — afekt, wzajemny związek; uczucie odwzajemnione, przyjaźń; związki rodzinne;

prawa — po kłopotach sentymentalnych najlepiej jest udać się w podróż;

lewa — przyjaźń bez żadnej perspektywy na silny związek, czy wzajemne połączenie; cierpienia z tym związane.

2 karo — sposób prowadzenia się zagadkowy; płodność, arodzenie dziecka; ciąża (ukrywana);

prawa — dziewczyna, która chce naprawić swe błędy;

lewa — dziewczyna, która rozpacz z powodu błędu nie do naprawienia (najczęściej ciąża);

As karo — list lub nowina; zwierzenia, przekazywanie wiadomości itd.;

prawa — człowiek pewny, do trzyma sekretu;

lewa — człowiek, który nie do trzyma sekretu; niedyskrecja, podglądanie, śledzenie itd.

LESZEK SZUMAN

ŻYCIE



PO ŚMIERCI

WISIELEC (2)

Maszyny pracowały bez przerwy prawie całą dobę. Dopiero następnego dnia stan reanimowanego poprawił się na tyle, że mógł już coś

szeptać. Jego mózg zaczął funkcjonować normalnie.

— Przebywałem w kraju, gdzie jeszcze nigdy nie byłem. Było tam pięknie. Ołbrzymia przestrzeń. Jeszcze mam w ustach smak słodkiej wody, która tam płem. Była tam duża fontanna, z której zaczerpnąłem wody. Widziałem kwiaty trzy razy większe niż nasze. Wydzielały cudowny zapach. Pachniały silniej niż nasze. W oddali widziałem mnóstwo ludzi, lecz kiedy chciałem się do nich zbliżyć, oddalali się ode mnie...

Pod olbrzymim drzewem, którego szczyt zdawał się sięgać nieba stał dobosz. On nie uciekał ode mnie. Wybił werbel, aż podszedłem do niego. Ktoś wówczas powiedział do mnie, że już teraz wszystko jest w porządku i jeżeli bym chciał, mógłbym i ja latać.

Tak mi teraz ciężko unieść rękę lub nogę, a tam gdzie byłem, było inaczej. Czulem się lekki jak piórko, szkoda tylko, że ludzie tam ode mnie uciekali.

Po chwili dobosz zaczął rosnąć i zrobił się olbrzymi jak drzewo. Ja zaś biegłem po zielonym stępie szukając ludzi. Wołałem głośno, bez

skutku. Teraz przypominam sobie, że szukałem mojej matki. Ktoś do mnie powiedział, że ja niebawem odnajdę, ale to potrwa jeszcze jakiś czas, bo to zawsze tak jest. Potem położyłem się pod owym wielkim drzewem i zasnąłem.

I teraz nie wiem, czy to wszystko o czym opowiadałem tylko mi się śniło, czy teraz przeżywam jakiś nieprzyjemny sen.

Człowiekowi, który przekroczył próg śmierci, zadawano jeszcze wiele różnych pytań. Żył tylko przez cztery dni. Sztuczne serce dłużej nie potrafiło go już utrzymać przy życiu.

— Chciałbym powrócić do tamtej, zielonej, przepięknej krainy — szeptał i skonał. W każdym razie były to jego ostatnie, zrozumiałe dla otoczenia słowa.

Opisany powyżej wypadek jest dosyć dobrze znany tak w ZSRR, jak i w całej Europie. Przetrząsało go wielu autorów w trakcie dyskusji o tzw. śmierci pozornej. Wyśnuli oni stał wniosek, iż przy powieszeniu śmierć nie następuje tak nagle, jak w innych przypadkach, a dopiero po jakimś czasie. Co in-

nego też, gdy wisielec na przykład spadnie z wysokości dwóch metrów i porzywa sobie wiazadła lub złamie jeden z kregów. W każdym razie już od wielu lat robi się próby, aby odnaleźć granicę, skąd istoty ciepłokrwiste, pozornie już nieżywe, dają się jeszcze odratować, przywrócić do życia.

Opis przypadku profesora Brunchanenka, to trzeźwe sprawozdanie uczonego, któremu wolno opierać się tylko na faktach biologicznie sprawdzalnych. Postroniek, na którym powiesił się ów człowiek, uciśkał pewne spłoty nerwowe, o których wiemy, z innych podobnych wypadków, iż wywołują w świadomości szczególne stany podniecenia.

Do dziś nauce znany jest tylko jeden przypadek człowieka którego nie można było powiesić na szubienicy. Był nim pewien jogi indyjski, który po długich ćwiczeniach tak potrafił uodpornić mięśnie, nerwy i wiazadła karku, iż stryczek nie przeszkadzał mu nawet w oddychaniu. Eksperyment ten ów jogi demonstrował publicznie, aby dowieść niedowiarkom do czego można dojść drogą systematycznego treningu. (Cdn.)

wiedza tajemna

organ samoistny pod redakcją
Joanny Sabiło i Andrzeja Wesołowskiego

wiedza tajemna